

Cena numeru
pojedynczego

30

groszy.

Prenumerata krajowa
kwartalnie 1 80 zł
półrocznie 3 60 zł
rocznie 6. — zł

Prenumerata zagran.
kwartalnie 40
półr. 80 centów am.
Konto P. K. O.
Kraków nr 406 000
Warszawa 153 210

Nr 6 (27)

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Warszawa — Kraków — Lwów — 15 marca 1927 r.

Adres redakcji
i administracji:

Kraków
ul. Zybkiewicza
L. 5/7, m. 55.

Godziny urzędowe
codziennie od 2—3

Oddz. w Warszawie.
ul. Sienna 22 m. 26,
tel. 136-95.

Oddział we Lwowie:
ul. Z. Chrzanowskiej
L. 10, arter.

Rok II.

Kobiece niebezpieczeństwo

Parokrotnie już zwracali uwagę w ostatnich czasach wybitni literaci i krytycy na świetną, gromadną inwazję kobiet na współczesny Parnas polski. W wykazach statystycznych naszej produkcji literackiej udział procentowy kobiet wykazuje gwałtowną tendencję zwyżkową. Coraz więcej ich pojawia się na naszym horyzoncie twórczym z włosem rozwiniętym natchnieniem i z lutnią Apollinową w ręku. I trzeba przyznać, że białe, drobne palce wydobywają z jej strun mistrzowskie dźwięki.

Równocześnie, gdy ilość piór żeńskich wzrasta, a ostrza ich stają się hartowne i naostrzone talentem niepoślednim, „męskie pióra” stają się coraz mniej liczne i tępieją bezsprzecznie. Coraz częściej dobra, wyrafinowana forma wiersza i prozy staje się w naszej literaturze przywilejem kobiecym. Zda się, jakby falangą zażartych zdobywców wdarła się z pasją triumfującą na szczyty obwarowanej dotąd przed ich wpływami sztuki. Ci zdobywczy w dekolowanych sukniach i malych pantofelkach okazują się dość groźni, mimo pozorów słabości i z niepojętą szybkością uczą się rzemiosła pokonanych.

Byłoby barbarzyńskim zacofaniem, wstrętnym egoizmem męskim i brzydka zawzięcia zawodowa, gdybyśmy wobec tego zjawiska zajęli wrogie, nieufne stanowisko. Cieszymy się raczej z tego, że teorie antyfeministów i na tem polu poniosły fiasko, że literatura nasza się wzbogaciła ilościowo i jakościowo i że kobiety wniosą może wiele nowych wartości i wiele nowego życia w wielki, pulsujący organizm sztuki.

Jest tu jednak jedno maleńkie zastrzeżenie...

Kobiety wnoszą do literatury pewne wartości, które są znakomitą i pożądaną dopełnieniem dotychczasowych, nie można jednak dopuścić do całkowitego przesycenia jej elementem kobiecym. Cudowna zdolność kobiet podpatrywania szczegółów i mikroskopijnych światów, wdzięk i elastyczność ich formy, roentgeniczna przenikliwość psychologiczna i zadziwiająca precyzyjność w pracy — nie powinny jednak stawać się ideałem i dominantą naszej literatury. Zatapianie się w szczegółach prowadzi do przesłaniania całości, do zatracenia zmysłu syntezy,

do obniżenia tego szorstkiego, wysokiego tonu organowego patosu. Orle spojrzenie i lwi chwyt, szeroki oddech twórczy i rozległość horyzontów były zawsze przywilejem męskości i literatury nie wolno ich pozbawiać.

Literatura kobieca fascynuje, podoba się, „bierze”. To jest kobiece niebezpieczeństwo i to nie dla czytelnika, ale dla samych literatów. Stwarza ono pewnego rodzaju modę, pewien powszechnie obowiązujący rytuał poetycki, który każe mężczyznom piszącym rezygnować z wielkich problemów, z patosu i rozmachu na rzecz drobnej wirtuozerii w produkcji filigranowych cacek. Niedawno jedna z wybitnie utalentowanych kobiet, pisząc o twórczości Kadena-Bandrowskiego, raduje się, że pisarz ten z szerokiego szlaku „Generała Barcza” zeszedł na wąskie ścieżki miniaturowych przeżyć.

To nie dobrze. Wkrótce kobiety wzmówią w nas, że trzeba tak właśnie pisać, jak one. Ze jednak one na swoim podwórku lepiej to potrafią, nas czeka sromotna klęska. Będziemy pisać o ślicznych wzorach na dywanie, o łałce, która się kocha i o przemilych straszdydelkach, ale zapomnimy zupełnie o tem, że jest gdzieś olbrzymi, grmiący wichr zdarzeń i szum wzburzonych mas ludzkich i srebrną mąką gwiazd na żarnach bożych. Zapomnimy o tem, żeśmy byli potomkami Konradów i Anhellich, Krzysztofów Cedro i Cezarych Baryków.

Ale kobiece niebezpieczeństwo zagraża nie tylko nam, ale i ideałom nurtującym dziś zarówno ludzkość, jak i jej sztukę. Literatura kobieca jest grzeszną kusicielką do ustępstwa, jest zdradą na barykadach kolektywizmu egoistycznych indywidualizmów, które zatrzaskują drzwi od potężnego nawoływania z zewnątrz gonią się figlarnie po kątach ciasnej izdebki z własnym sercem i z widmami własnych przeżyć.

Dziś gdy samo życie piorunującym przeciągiem otwiera wszystkie bramy, gdy ludzkość zbliża się i scementowuje w braterstwie i kulcie zbiorowej pracy, nie wolno nam pozostawać na uboczu wielkich zagadnień i przemian, tak jak to literatura nasza z manjackim uporem czyniła dotąd.

Przed jubileuszem Władysława Orkana

Powiadają niektórzy, nawet zasłużeni na polu literatury badacze, że, jak niegdyś o ukraińskiej czy litewskiej, tak dziś o szkole podhalańskiej w literaturze śmiało mówić można. Twierdzenie to musi mieć mniej lub więcej nieuzasadnione podstawy. Jedną z nich, może najważniejszą, to niezawodnie spora gromada rodnych Podhalan, którzy częściowo lub całkowicie już do literatury weszli. Są nawet tak śmiało idące głosy, że Tatry i Podhale miały swój okres mody, w którym szkoła podobna mogła się łatwo narodzić. Nie wiem, czy ziemia, która tak wyraźnie znaczy się na obszarze Rzeczypospolitej odrębnością kultury i pięknem przyrody, potrzebowała mody na to, by o niej pisać, a tembardziej śmiał wątpić, czy z mody musiała wyjść odrębna gałąź literatury, którą reprezentują rodni Podhalanie. Raczej należy stwierdzić, że tak być musiało, że na takiej ziemi prędzej, niż gdzieindziej, twórcze talenty mogły wyrosnąć.

Czy jednak tych ludzi należy w jednej, osobnej „szkole” zamknąć? Może z tytułu tylko pochodzenia, bo ich twórcze drogi wiele są rozbieżne. Porównajmy z kraja: Kazimierza Tetmajera z Józefem Jędrkiewiczem (a porównanie takie, jeśli mowa o „szkole”, zrobić można, bo obaj do niej należą). Pierwszy urodził się w Ludźmierzu, drugi o parę kilometrów dalej — we Wróblewce; oba — jak wiemy — czerpali tematy z Podhala a jakżeż diametralnie od siebie się różnią. Tetmajer gwara, jakiej używali górale przed 50-ciu, stu czy więcej laty, pisał wielkopomne dzieło, mocarne, jak pierś jego bohaterów — Janosika. Jedlicz zgola inaczej talent swój ujawnił i wszyscy inni znaczą się swoją własną nutą.

A już całkiem osobno, jakby nikogo w ogóle nie było, tworzył w zupełnie osobnym Orkan. Też do „szkoły podhalańskiej” (jeśli już ktoś konieczne nazwy tej potrzebuje), bardzo zaszczytnie należy. Z pochodzenia góral radowity urodzony w Porębie Wielkiej, ktra to wieś położona jest w paśmie Gorców, po północnej stronie Turbacza. Pierwsze lata, które bodaj-że najjaśniejszymi były, tam właśnie przepędził. Nauki pobierał w Krakowie, a po ich ukończeniu

Uczcijmy przeto w twórczości kobiecej wszystko to, co w niej jest z człowieka i z ducha, ale nie wyłuskujmy z naszych ksiązek samych siebie. Niechaj dygota i krzyczy w nich zawsze to co jest życiem ziemi, ziemi i niebiosów, życiem idei i życiem wszystkich ludzi.

—oOo—

wrócił znów do Poręby. (Sewer w książce swej p. t. „Matka” szeroko te czasy Orkana przedstawia). I tam głównie rozwinął swą piśarską pracę, która dziś stanowi w piśmiennictwie polskiem odrębne a bardzo ciekawe i interesujące zjawisko.

Jakież ma charakter twórczość Orkana? Odpowiedź na to dał on sam przez napisanie jednej tylko książki; chociaż tomów, które dotychczas z pod jego pióra wyszły, liczymy już dwadzieścia kilka, to jednak całkowite pojęcie o talencie, o zwartości i stanowisku Orkana w literaturze, możemy sobie wyrobić po przeczytaniu tej jednej książki. Jest nią owa najcudowniejsza, perłami liryzmu olśniewająca, w głębiach prapuszczu z szumu stu-letnich buków i jedli wysłuchana, niesłychane cuda-dziwy wieszcząca nuta-pieśń, którą zaklął Orkan w przebarwione słowo, a która nazywa się „Drzewiec”. Ta przepiękna, technicznie pra-wieków żyjąca pieśń, nie trafia jednak, jakby winna do dzisiejszych uszu, „leczących na nowość”, modnym wiatrem blues-charlestonowym żyjących... I dlatego zdobne w drzeworyty egzemplarze „Drzewiec” płaczą się po zakurzonych półkach antykwarzy.

Są jednak inne rzeczy, na które trzeba by też koniecznie zwrócić uwagę. Orkan, jak rzadko który z pisarzy wyszłych z ludu, z ludem tym do dziś dnia nie zerwał bezpośredniego kontaktu. Osiadł na ukochanej przez siebie ojcowiznie w Porębie i raki tam już gazuje. Żył się całkowicie z tą przepiękną a twardą i niewdzięczną ziemią, z szarym od biedy i nędzy narodem, a skąpinym w morzu lez i nieszcześć różnych. Nic też dziwnego, że jego nuta pełna jest smutku i tęsknoty, odbijającej się echem po dalekich, równie smutnych ugorach i sptowiałych stokach. Orkan przypomina młodego gązda, który w świątecznym stroju, w czarnej czuże, zwisającej w pięknym mieladzie na jego ramionach przechadza się w zadumnie smutnej po uboczach. Idzie wierchami i pozerą na ona brać swoją, jak się pod nędzą garbi, jak z bezprzykładnem umiłowaniem jałowiznę straszną, tę pusta skalistą uprawia. Czasem — zda się — przysiednie na białym pniku i wstecz pamięcią sięgając, duma: Ka się to wszystko podzieliło? Kanyż się podzieliło dawne, lepsze czasy? Przecie lnsze było tu życie — „stary ojciec gwarzył słonko jaśnie światło, chleb sie ludziom darył.” „Hej, były czasy były, my ich nie poznali. A dziś? Śmierć głodowa wszystkiemu zagraża. Śmierć przeszła poprzez te świat i życie zmroziła. Bacz, „wierchowy Dumac”, smutny wzrok puszczając wokół siebie, że drzewiej, niedawno jeszcze, kraj ten wypełniało życie; smrekowy las dźwięczał od krzyku ptactwa, z jedli starych wylizy-

waly miód gązdy — niedźwiedzie, a wyżej „u niebios błękitnych powal orzeł królewski kolował.” Bacz, jak uśmiechał mu się świat w latach chłopięcych, bo myślał, że podobnie jak w młodości wczesnej, przedzie życie po słonecznych polanach, że „będzie jako młody bóg, w zawiej kwiatów się tarzał”. Tymczasem cóż mu życie dało? Zatrulo serce, a duszę trawi ból, gorycz i smutek wieczysty. „Śniadaniem było mu słońce, smutek wieczera”. Błądzi oczyma po spłowiałych uboczach, na których już nawet jagody nie rosną i duma... Kanyż to życie stąd zeszło? Nawet potok gwarny zamilkł i przepadł bez wieści. Miasto życia, głuchy smutek wypełnia martwą roztoke. Czuję to w sercu, iż wszystko gdzieś zamarło, iż został jeszcze on, pustka i ten czas, „co sę we wieczność przelewa”. I została jeszcze niedołączona, jedyna jego towarzysząca w tej pustce, „miewieścia postać skulona” — cierpienie.

Smutek i cierpienie — oto dwie rzeczy, które już od wczesnych lat wleczą się za nim po Pustce. Nic więc dziwnego, że pisząc, nie szczędzi nam tej masy cierpienia, których świadkiem jest ziemia podhalańska, ta ziemia „nędzy i zamaryłych kęp.” Czem-że jeśli nie fala nędzy i lez, jest fala chłopięcego życia płynąca w takich powieściach jak „Komornicy” czy „Pomór”, jak dramat „Skapany Świat” czy nowela „Nad Urwiskiem”. „Słpe jaszczurki nędz, gady okrutnych kłatw i węże zawiści” zewsząd, z każdego kąta wzierają. Nie są to obrazki sielankowej wsi choć tu i tam jaśniejszy uśmiech zabłyśnie. Ta to straszna, krew w żyłach mrozące tragedie, rozgrywane się pod powierzchnią obojętnego (mapozór) życia.

Pomijając drobniejsze, choć nader interesujące rzeczy, należałoby jeszcze wymienić powieść „W rozłokach”, której głównym bohaterem jest „Frank Rakoczy”. Kim-że on jest? To Rakoczy-Orkan, bojownik o nowe orle Podhale, o nową Polskę, w której wszyscy używaliby jednych praw i wolności. (Epilog tej powieści p. t.: „Frank Rakoczy” grany będzie za parę dni w teatrze miejskim.) A „Kostka Napierski”? To także wielki bojownik o wielką ideę odrodzoną, o ludową Polskę, która byłaby szczera, „da wszystkich pospólną. Idea Kostki była zawczesna (XVII w.) i dopiero dziś rzeczywistością się staje.

Wreszcie, jako wskazania dla odrodzonej już Polski, to głębokie i na wszystkie strony rozważone „Listy ze wsi”, które katechizmem, elementarzem podręcznym są, a przynajmniej powinny być dla tych, co idą między lud ze światłem; wtedy możnaby unikać nsiucia charakterów, paczenia zdrowych i rzetelnych pojęć.

A. Zachemski.

HELENA MOSKWIANKA.

Afisz e

Okna mieszkanka profesora Pawła wychodziły na mur pstrokaty nierówna szachownicą jaskrawych afiszy. Na mur ów padały co rano spojrzenia profesora; nie mógł wprawdzie przez szerokość ulicy odczytać żadnego napisu, rozpoznawał zato odrazu każdego nowego przybysza.

Jedne z żółtych, zielonych czy czerwonych prostokątów były dobrymi, starymi przyjaciółmi, wisiły tu od tygodnia. Inne znał powierzchownie możnaby rzec „z widzenia”; te rozłożyły się tu zaledwie od wczoraj. Ostatnie wreszcie, przewłgłe podkładem kleju, ciemniejsze od reszty były ciekawymi stronami nieprzeczytanej książki.

Profesor ubierał się szybko i bez względu na pogodę, wychodził z domu zawsze o 10-tej. Zbacał kilkanaście kroków na lewo ku przejściu i o tyleż zwracał na prawo, by stanąć przed afiszami. Poczem zakładał okulary i wsparty na łasce rozpoczynał studia. Najpierw przelotne pozdrowienie dla starych znajomych, potem bliższa znajomość z drugimi, wreszcie najbardziej pochłaniające czerpanie nowej treści.

Profesor Paweł nie czytywał oddawna gazet. Afisze były dla niego książką i dziennikiem. Przez nie dowiadywał się o patriotycznym obchodzie i o założeniu nowej pralni. Kolorowe, przedwzyskiem kolorowe, dawały codzień nowe połączenia barwy i treści. Opowiadały o wspaniałych koncertach, obiecywały cudowne przedstawienia, zachwalały pastę do butów.

Wszystko, o czem mówiły, było słowne, wyborne, bez konkurencji. Jaskrawe

i pogodne oznajmiali poważnie lub zachęcały goraco, nie ganiły nigdy. Najchętniej zaś używały stopni najwyższych.

— Najslawniejszy champion Europy!
— Najlepszy elixir na włosy! — były krzykliwe, lecz pełne optymizmu.

Profesor Paweł odczytywał wszystkie od góry do dołu, była to przecie najmlsza chwila dnia. Późniejszy spacer po mieście z przystawianiem przed innemi tablicami ogłoszeń nie dawał już oroku pierwszych wrażeń. Był raczej rekonesansem o charakterze jedynie porównawczym. Afisze z innych ulic nie należały do niego. Z daleka już przechwalały się każdą obcą tamtym wiadomością. Miał dla nich w głębi duszy serdeczne lekceważenie. Czyż mogły być ważnymi wiadomości nie umieszczane na jego tablicy?

Wracal do domu w południe i z okna przesyłał tamtym uspokajający uśmiech. — Możecie być spokojne, zawieracie to, co najważniejsze.

Nowy nakład naklejało o 3-ciej, w czasie poobiedniej drzemki profesora. Z temi zapoznawał się w kilka godzin po ich przybyciu, wychodząc z domu latem o szóstej, zimą o piątej. Latem czytywał je przy pełnym blasku dnia, zimą oświecała je gazowa latarnia. Zmieniały się wówczas kapryśnie, niebieskie wkładały suknie zieloną, różowe pudrowały się cegłą. Zgodnie w takt migotał latarni zrzucały i narzucały zasłonę cieni. Pobłażliwie przyglądał się profesor tym zabawom licząc poniesione straty i świeże nabytki.

Dziś jednak ostupiał, wyjrzawszy przez okno: robotnicy wykopywali starą latarnię.

Popatrzał na zegar: czwarta. O tej porze nie wychodził nigdy z domu. Sprawa była jednak zbyt ważna, by można było czekać. Wyszedł.

— Co to robicie ludzie? —
Nic nie odrzekli.

— Co wy robicie? Kto łazał? —
Pracowali dalej.

— Słuchajcież, tego nie można... zostawcie.

— A cóż to pan? — Korwisorz? —
oburknał wreszcie młodszy

— Będziecie ta z durnym żadał? —
łagodził starszy.

Profesor wrócił do domu. Usiadł w kącie najdalszym od okna, nie palił światła. — Będzie to tutaj jasno, kiedy im ciemno? — Wybiła piata. Patrzył weń prosto aksaminie prostokaty zryb. Wyjść znnowu? Coś niezwykłego wradzało się w szereg rozumnie kratkowanych dni.

Jaskrawa szachownica nąpłynęła się w mrok, stopiła z murem. Tylko największa czerwona plachta łabrała ciemnych rumieńców, od dalekich promieni drugiej latarni. Majaczył też niewyraźnie zarys biały. Postal nad niemi chwilę.

— Cóż wam poradzić? —

Profesor wychodził teraz tylko raz dziennie. Nie mógł zdobyć się na to, by codziennie oglądać wtapianie się afiszy w szarość muru. Całą siłą woli, wmawiał w siebie, że wszystko jest ik dawniej.

Co rano widział je barwie, jasne, zadwołone. Widokiem tym zasłaniał się przed ciemnością nocy.

Nie mógł jednak rano, szczerze, otwierać jak dawniej patrzeć imw oczy. Ukradkiem zgarniał narecze wiadomości i uciekał szybko do domu.

Tutaj ustawiał godziny iporządkował zajęcia, według zapowiedzi jakie przynosił ze soba.

W nocy wbrew zwyczajowi nie palił także lampy. Leżąc w ciemności czekał

na bicie zegaru. Łapał kwadrans po kwadransie, rozmięniał na drobniejszą monetkę, i dodawał do ogólnej sumy minut. Wiedział że one, po drugiej stronie ulicy, z równą tęsknotą czekają późnego świtu.

Wyszedł do miasta o 8 mej.

Przy pełnym blasku dnia, spoglądali sobie prosto w oczy: profesor i afisze. Okazały się mniej przynębnymi, niż sądził, widocznie jasność dnia dodała im odwagi. Pozwoliła zapomnieć o okropnościach nocy.

Rozplaszczone jak mogły najdogodniej, z tym większym zapalem przechwalały się nasyceniem barwy. I możnaby było zapomnieć zupełnie o wydarzeniu wczorajszym, gdyby nie otwarta rana chodnika, obsypujących się grudkami ziemi, płacząca za starą latarnią.

Popołudniu rozpoczynały się przedstawienia, kinoteatry: „Tygrys” wyświetla „Białą lilję”, „Maska” film z Harold Lloydem.

Był na obu przedstawieniach równocześnie.

Leżąc na bujaku wysnuwał z tytułu akcje. Wieczorem w ten sam sposób udawał się do teatru.

Był właśnie na trzecim akcie „Don Juana”, gdy przyszedł afisz. Profesor Paweł ucieszył się odwiedzinami ogromnie.

— Tak dawno chciałem, by przyszedł tu kto z was. —

Lecz afisz szeleścił groźnie, zgola nie po przyjacielsku.

— Zaparteś się nas — wyrzekł, przewieszając się przez poręczę krzesła.

— Ja? — krzyknął przerażony.

— Tak — wstrząsał groźnie krajem afisz. — Ty właśnie, brałeś od nas więcej, niż tysiące zwykłych przechodni. Cieszyłeś się grą barw? A teraz przycho-

dzisz raz tylko, wtedy gdy oświeśla nas słońce. Umiałeś łatwo zapomnieć o nieskończonych godzinach zmierzchu i nocy?

— Prawda — przyznał w pokorze. — Ale nie sądzicie źle, myślę ciagle o Was. Dlatego brak mi odwagi, by patrzeć na Was wieczorem. Tak mi Was żal. Musiałyscie skończyć zabawy z światłem i cieniem.

— Czyż o to chodzi? — przerwał gwałtownie gość — znasz nas tak mało? Czyż poto tylko przylegamy płasko do murów, lub obejmujemy wypukłe walce kiosków, by być jedynie kolorowem i łatanami na płaszczu miasta? Nie o to chodzi nam, głosićielom nowin. Przez kilkanaście godzin dziennie, przez dłuższą część naszego kilkudniowego życia męczy nas teraz bezradność. Odebrano nam radość i cel życia: możność głoszenia wiadomości.

— Jak Wam poradzić? — spytał szybko, zrozumiawszy ważność sprawy.

— Oddaj poprostu co wzięłeś. Treścią naszą wypełniałeś nieprzeliczone godziny twego ludzkiego życia. Pomóż nam teraz przeżyć w pełni kilkadziesiąt godzin naszego. —

— Dużo żądacie — szepnął.

— Wiemy o tem, ale pomyśl, będziesz blisko mi i zawsze z nami. —

— Niechże wam będzie. — Odpowiedział mu radosny trzepot afisza o krawędzie.

O zmierzchu dnia drugiego było już wszystko jak trzeba. Afisze zmieniały się kapryśnie, zgodnie w takt migotał latarni rzucały i narzucały zasłonę cienia.

W kilka lat potem na murach miasta ukazał się wielki tęczyowy afisz o niezwykłej treści:

— W imieniu zjednoczonych afiszy, prosimy o nowy blaszany kapelus z dla Profesora Pawła Latarni. —

Rozmowa z Julianem Tuwimem O teatr krakowski

Było to w roku 1922 w jednym z większych miast prowincjonalnych zachodniej Małopolski. Afisze doniosły, że w najbliższym czasie przyjdzie z wieczorem autorskim Julian Tuwim. Byłem wtedy uczniem VI klasy gimn. Z prawdziwie chłopięcą niecierpliwością wyczekiwałem dnia, w którym miał przybyć Tuwim do mojego rodzinnego miasta i w sali miejskiego kasyna wygłosi swe wiersze. Za zebrane w tygodniu kilkadziesiąt fenigów kupiłem bilet na zapowiedziany recital. Zdobywając dzielnie małe pieniądze i lokami miejsc na galerii „przebiłem się” zwycięsko do najbardziej wysuniętej barjery. Sala — pamiętam — przepelniona była ludźmi. Byłem bardzo ciekawy, jak wygląda Julian Tuwim. Z niecierpliwością bitem obcasami w podłogę ku „największemu oburzeniu” mych przygodnych sąsiadów. Bystrym wzrokiem wpatrywałem się w przyniknięte drzwi w głębi estrady, któremi lada chwila miał wejść poeta. Chwile dłużyły mi się nieznośnie. Wreszcie drzwi otworzyły się cicho. Wszedł Tuwim. Prawdziwy, najprawdziwszy Tuwim.

Tak rozmyślałem, gdy siedząc teraz, po długich pięciu latach obok Tuwima w kawiarni „Grandu”, słuchałem jego zrównoważonych słów i wpatrywałem się pilnie w jego ostro zarysowaną, męską, sepią twarz i w smutne łagodne oczy, ciekawie zdysharmonizowane z zarysem twarzy. Tuwim mówi spokojnie. Od czasu do czasu wykonywa charakterystyczny ruch ręką, jak gdyby chciał nadać realny kształt swym powiedzeniom. Gdy Tuwim mówi o jakimś ukończonym przez siebie temacie, cały pochyla się naprzód, oczy rzucają z pod ładnie zakrojonych brwi gorączkowe spojrzenia, ostre rysy łagodnieją, nadając twarzy wyraz prawdziwego zapału i szczerzej dobroci.

Wśród kawiarnianego gwaru rozpoczęliśmy rozmowę. Powoli płyną słowa z ust Tuwima, jak gdyby rodziły się w mżolowym trudzie i cierpieniu. Każde jego słowo obliczone, odmierzone, jasno i krystalicznie maluje sytuację, którą Tuwim chce przedstawić. Mówi mało, jak gdyby słów skąpił. Zbędne słowa nie wypowie.

Nie lubię wywiadów — mówi Tuwim. — Nie umiem się spowiadać w potocznym życiu z moich stanów psychicznych, wrażeń i przeżyć. Nie umiem się w rozmowie wyślawiać. Z trudem mi to przychodzi. Wszystko, co ciekawszego mam do powiedzenia, zamieszczam w wierszach. W wierszach moich można mnie tylko prawdziwego odnaleźć.

A więc nie wywiad dziennikarski — tylko „takta sobie” rozmowa literacka — podchwytuję.

Dobrze. A więc opowiem „coś” Panu o moich latach młodości, gdy zacząłem stawiać pierwsze kroki literackie. Te pierwsze lata twórczo, to moja najukochańsza epoka w życiu. Zaczęłam pisać w r. 1911. Byłem wtedy uczniem VI klasy gimn. w Łodzi. Pierwsze moje wiersze były pełne tradycyjnego „Weltschmerz” i najczarniejszego pesymizmu, wobec którego pesymizm Byrona był niczem.

Tu recytuję mi poeta jedną z pierwszych swych prób poetyckich. Można się w niej jasno dopatrzyć ciekawych już wtedy skojarzeń słownych.

Postanowiłem przesłać pierwsze moje próby literackie — ciągnie dalej Tuwim — najukochańszemu mojemu mistrzowi — Leopoldowi Staffowi. Nie mogłem jednak w sobie przełamać młodzieńczej wstydlivosti.

Szukałem sposobu bliższego poznania Staffa. Wnet „wpadłem” na dobry pomysł nawiazania z nim korespondencji. Otóż właśnie w tych czasach zajmowałem się bardzo pilnie esperanto, tłumacząc na ten język niektóre wiersze Staffa. Napisałem więc do niego list z prośbą, by mi przesłał pozwolenie na tłumaczenie swych wierszy. Niedługo potem otrzymałem od Staffa list z pozytywną odpowiedzią. Zebrałem się więc drugi raz na odwagę i napisałem długi, długi list, do kochanego mistrza, w którym zapoznałem go z moją ideologią życiową. „Życie jest złe — nie warto żyć” — pisałem. Otrzymałem bardzo grzeczną i pocieszającą odpowiedź. Wtedy pękły tamy mojej wstydlivosti. Przesłałem więc Staffowi brulion moich wierszy z pokorną prośbą o ocenę. Ocena wnet nadeszła. Dawał mi w niej Staff rady i wskazówki, jak należy pisać, co to jest technika wiersza itp. Kochany mistrz! List jego dotad przechowuję, jak najświętszą relikwię. W rok później Staff przybył w odwiedzin do swego krewnego, mieszkającego w Kongresowie w Rudzie Malenieckiej pod Końskiem. Ruszyłem więc pielgrzymką do mojego mistrza, by zawrzeć z nim osobistą znajomość. Niezapomniane to czasy młodości — mówi Tuwim z cichym, smutnym uśmiechem na twarzy.

Kiedy Pan zaczął pierwsze swe wiersze drukować? — pytam.

Nie chciało z początku mych wierszy drukować w żadnym czasopiśmie literackim, ani w gazecie codziennej. Dopiero „Kurier Warszawski” zdecydował się wydrukować pierwszy mój wiersz w roku 1913.

Czy nie mógłby mi Pan powiedzieć, w jaki sposób Pan pisze?

Widzi Pan — Tuwim wyjmując maleńki notatnik — w tym notesie rzucam pierwsze szkice do moich wierszy. Niekiedy wiersz piszę godzinami, niekiedy wiersz powstaje w pięciu minutach. Nie jestem tego rodzaju pisarzem, który może o sobie powiedzieć, że ten a ten temat mam na warsztacie. Piszę wtedy, gdy czuję potrzebę pisania. Jak mnie „złapie”, to piszę. Jeśli potrzebę pisania nie mam, to ołówka do ręki nie biorę. Piszę zatem najczęściej urywkami, fragmentami, później je uzupełniam. Naprawdę więc musi powstać jądro wiersza, jego oś. Później dokoła tej osi narasta całe tworzywo. Wiem przeto zawsze, która zwrotka w wierszu jest rdzeniem jego, podstawowym punktem wyjścia dla całego utworu.

Czy Pan zasiada do pisania z gotową koncepcją wiersza?

U niektórych poetów, zasiadających do pisania wiersza w najwyższym skondensowaniu, widać umysłowych przebiegów, przebiega myśl, która chcą zamaterializować w wierszu lub temat, o którym chcą pisać. U mnie natomiast w chwili twórczej powstaje w mózgu wizja słowa. Słowo właśnie jest tym miąższem wiersza, jego mięsiwem, jego najistotniejszym ośrodkiem.

Tuwim zapala się. Oczy rzucają nerwowe spojrzenia. Tuwim mówi o istocie swej twórczości.

Ja słowo widzę. Słowo jest treścią mojej twórczości. Słowo musi tkwić niewzruszalnie w zdaniu. Musi być wmontowane w łożysko zdania.

Czy uznaje Pan konkretny cel poezji?

Nie jestem wileszczem. Pisać wiersz, nie zdaje sobie sprawy, czy dany wiersz może mieć jakieś ogólniejsze znaczenie. Tworzę z indywidualnych przyczyn — z najgłębszych przeżyć — dla siebie. Napisany

już jednak wiersz może mieć już skutek ogólniejszy.

Czy nie mógłby mi Pan coś powiedzieć o literackich zamiarach Pańskich na przyszłość?

Przygotowuję do druku nowy tom poezji p. tyt. „Rzecz czarnołoska”.

Sliczny tytuł — wtracam.

Podoba się Panu? Tytuł ten ma tradycję w cudownym, czarującym wierszu Cyprjana Norwida:

Czarnołoskie ja rzeczy
chce. Ta duszę uleczy
i zagralem i jeszcze mi smutniej —

Tuwim deklamuje przyciszonym głosem, dźwięcznie akcentując każde słowo. Odbiera się wrażenie dzwoniącego cichutko strumyka, płynącego wśród ostrych złomów skalnych.

Cudowny wiersz? Co? — pyta Tuwim z szczerzym zachwytem. — Norwid to geniusz niebywały! Stworzył wyższą szkołę poezji. To prawdziwy poeta przeistoczonego słowa. Powoli, powoli postępuje naprzód moja powieść p. tyt.: „Skrzydlaty złoczyńca”. Od czasu do czasu kontynuuję ją urywkami. Piszę również dramat p. tyt.: „Szczury w domu”. Mam w planie widowsko sceniczne p. tyt.: „Pieniądz”.

Czy uprawia Pan epikę?

Nie! Tymczasowo nie. Może kiedyś.

A tłumaczenia? Tłumaczenia Pana z języka rosyjskiego wzbudziły prawdziwy zachwyt —

Tłumacze fragmentami Puszkina — mówi Tuwim. — Tłumaczenie moje „Pułku Igora” ukazuje się w najbliższym czasie w całości nakładem „Biblioteki Narodowej”. Niestety walka o byt odrywa mnie od pracy oryginalnej. Finansowe stosunki moje przedstawiają się w kolorach niezbyt różowych. Muszę zarabiać tłumaczeniami. Ciężka dola literata.

Piękne czoło Tuwima przecięta głęboko żłobioną zmarszczką. Tuwim zamilkł.

Jak Pan się zapamiętuje na współczesną poezję polską — pytam, by rozwiać smutny nastrój.

Lechoń, Słonimski i inni — to moi najbliżsi przyjaciele — odpowiada znów wesoło Tuwim — z wiadomych więc powodów nie mogę o nich dużo mówić.

Lechoń? — podchwytuję.

Wszak jest powszechnie wiadomym, że Lechoń to doskonały i wspaniały poeta — niestety mało pisze — odpowiada Tuwim.

A Słonimski?

Również doskonały i doprawdy wielki poeta. —

A co Pan sądzi o krakowskim świecie literackim?

Barczo cennie „Gazetę Literacką”. Bardzo sympatyczne, bardzo pożyteczne i bardzo dobrze redagowane pismo literackie.

Barczo mi się podoba również ciekawy i świetny talent Mieczysława Jastruna.

Który z Pańskich tomów poezji najbardziej się Panu podoba — pytam.

Do wszystkich jestem przywiązany. To są moje dzieci. Jakże więc własnych dzieci nie kochać?!

Niestety wywiad zbliża się ku końcowi. Tuwim za kilka godzin wyjeżdża już z Krakowa. Nie chcąc mu więc zabierać drogę czasu, żegnając wielkiego poe, „Słowo we krwi”.

Wracając do domu rozmyślałem o dziwnie niepowodziarnym uroku, jaki dokoła siebie rozciąga postać Juliana Tuwima.

R. B.

W warszawskiej prasie codziennej i periodycznej ukazują się od pewnego czasu ataki na Teatr Krakowski, który właśnie w bieżącym sezonie rozwija działalność wysoce artystyczną, wielostronną i kierowaną jasno wytkniętym programem. Anonimowe te notatki ukazały się dotychczas w „Świecie”, „Głosie Prawdy”, a ślad ich nietrudno też odzyskać w jednym z fletionów „Kurjera Warszawskiego”. Nietrudno również wskazać źródło tych informacji (is fecit, cui prodest!). Autorem, względnie instygatorem tych utworów jest pelen krotofil Trzcicki Teofil. Krotofil te roją się od kłamst, wygłoszonych z tapetem, niezwykłym nawet w naszych stosunkach dziennikarskich. Głosi się tam na przykład, że deficyty teatru krakowskiego „wynoszą obecnie 600 000 zł.” To „obecnie” znaczyć ma: w bieżącym sezonie. Oczywiście jest tu mowa o 480 000 zł. deficytu, które beztrudni p. Trzcicki nagromadził w ostatnim roku swej dyrekcji, z dodatkiem 70 tysięcy, zaległych z lat ostatnich. Tę własną spuściznę radby teraz w oczach nieświadomych rzeczy czytelników warszawskich wpisać na konto swego następcy: to się nazywa wytwórny chwyt w równie szlachetnej emulacji koleżeńskich.

Albo: „teatr krakowski w obecnym sezonie służy przeważnie literaturze dramatycznej obcej: czy godzi się tedy z mało zasobnej kasy gminnej żywić tak znaczne sumy po to, aby teatr, noszący imię wielkiego poety polskiego, wystawiał sztuki cudzoziemskie, zwłaszcza niemieckie.” Otóż statystyka po dzień 15 lutego wykazuje na ogólną liczbę 21 sztuk, a 19 przedstawień sztuk niemieckich z 28 przedstawień. Te dwie „nowości” niemieckie to: „Hanusia” Hauptmanna w arcy-polskim przekładzie Komonickiej, oddawna już własność t. zw. wielkiego repertuaru poetyckiego, oraz „Kredowe Koło”, które jest sztuką chińską, w transkrypcji Klabunda przejętą duchem antypruskim i pacyfistycznym.

To się nazywa „zwłaszcza niemieckie”. Nikt nie poczytywał p. Trzcickiemu za zbrodnię, gdy kiedyś do zdumienia obnosł po swych autorkach „odkrycie” Kaisera, Schönherra czy Wedekinda. A obecnie właśnie gra się w Teatrze Narodowym „Zbójców” Schillera i nikomu również na myśl nie przyjdzie, by robić z tego wyboru zarzut p. Lorentowiczowi albo jego reżyserowi. Robi im się natomiast zarzut tylko z tego, że ten reżyser znów „nie miał żadnej koncepcji” („Unia”), „ani nawet starego i poprawnego szablonu” („Rzeczpospolita”), że „potraktował całe widowisko bardzo szablonowo”, a „poprzez tępotę reżysera” „przebiegali się z trudem znakomici aktorzy („Wiadomości Literackie”) etc.

Na owe dwie sztuki, w najlepszym razie pół-niemieckie, przypada 5 sztuk francuskich (42 przedstawień), 3 sztuki angielskie (30 przedstawień), a ośm sztuk polskich (wśród nich „Akropolis”) w 62 przedstawieniach! Co się tedy słowackiego, to faktem jest, że „imie wielkiego poety polskiego” nie zaistniało w ostatnich 2 latach dyrekcji Trzcickiego z żadnym świeżo choćby wystudjowanym, wznowieniem na repertuarze krakowskim; obecna natomiast dyrekcja zaingurowała sezon „Księciem Niezłomnym”. Specjalnie, jeśli mowa o uprawie t. zw. współczesnej „twórczości rodzimej” (lubuony dziś argument w polemikach teatralnych), to istotnie w poźniejszym sezonie 1925-26, który miał p. Trzcickiemu torować drogę po laury warszawskie, grał teatr krakowski 3 (słowami: trzy, w jednym sezonie!) rodzime bzdury St. Krzywoszewskiego (Hammeln, Pani Chorażyna, Pan Minister), za co redaktor „Świata” pomieszczał także własnoręcznie artykuły Trzcickiego, sławiące go, jako męża opatrnościowego (dosłownie!), a teraz otwiera swoje łamy dla fałszujących fakta rewelacji o osieroconym teatrze krakowskim. Równocześnie p. Krzywoszewski w charakterze prezesa ZAD-u (Związku Autorów Dramatycznych) wysłał do dyrekcji i prezydium miasta epistolę, dopominając się o nadbudowę repertuaru polski. W języku przyzwolonych ludzi nazywa się czynność taka: usiłowanem wymuszeniem. Nie jesteśmy organem p. Nowakowskiego. Przeciwnie: wytknieliśmy mu w tym sezonie szereg uchybień i nadal zachowamy wobec niego politykę wolnej ręki. Ale poczytujemy mu za zasługę, że nie grał i nie zamierza grać Rusałek, Djabłów ani Karczmarek. Że grał natomiast Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Bliźnińskiego, Bałuckiego i Perzyskiego, a zapowiedział na najbliższe tygodnie Zegadłowicza, z Kossakowską Pawlikowską i Orkana. Zdyskwalifikowanych autorów „rodzimych” jest spora garstka. Są pewne znaki na ziemi i niebie, które zapowiadają, że grupa ta, zorganizowana pod kooperatywnym hasłem: „grafami wszystkich krajów łącznie się!”, gotuje groźną ofensywę na teatry polskie. Morszynek już staje na paluszkach i papla troje niewiady o krzywdach poezji”. Ale prawdziwy twórca: Rostworowski czy Zegadłowicz nie upominają się; to teatr upomina się o nich i czeka z upragnieniem ich rekopisu. A wysyłanie „Niewinnych grzesznie” do Paryża czy innych Kiedrzyńskich i Winawerów do Pragi jest karygodną propaganda „rodzimej” tandety, która do reszty zrujnuje nasz cywilizacyjny bilans handlowy.

Artykuł „Co się stanie z Teatrem im. Słowackiego w Krakowie?”, telefonowany do „Głosu Prawdy” przez własnego korespondenta(!), jest sporządzone na miejscu równie kłamiwem streszczeniem ostatniej debaty teatralnej w krakowskiej Radzie miejskiej. Dowiadujemy się tam, że Rada miejska postanowiła problem przesilenia teatralnego w Europie(!) traktować zasadniczo, że teatr krakowski wobec braku nowych kierunków dramatycznych stracił na znaczeniu narodowym (co ma piernik do wiatraka?) i kilka jeszcze podobnych nonsensów z powołaniem się na autorytet ludzi tak kompetentnych, jak mec. Klimeckiego i mec. Ehrenpreisa... Siel... Jest tam jeszcze mowa o przedsiębiorcy prywatnym, który chce prawdopodobnie finansować ambicje p. Trzcickiego (pokazał światu tego dobrodusznego aierzystę! do tychczasowi kompani p. Trzcickiego złe na tych spółkach wychodził...) itp.

Z wszystkich tych bałamuciw wynika wszakże ponad wszelką wątpliwość jedna prawda dość przejrzysta: pan Trzcicki tęskni za Krakowem... Warszawa może przyjąć te wiadomości jedynie z żywą ulgą i zadowoleniem. Tesknota za miastem rodzinnym jest uczuciem szlachetnym. Rodzą się w niej czasem utwory natchnione. Ale co głowa, to rozum, a co serce, to uczucie. Z nostalgia p. Trzcickiego powstały na razie tylko oszczerze plotki dziennikarskie. Ale co najważniejsze (i tu przykróść dla Warszawy, a dla nas pociecha): p. Trzcicki tęskni — bez wzajemności...

—000—

TADEUSZ ZAJACZKOWSKI

Korsarz znużenia

Tak to mnie przejęło — narazie dziwnością, potem tragizmem biednych ludzkich istnień, aż wreszcie głębokim uczuciem radości przezwyciężenia opornych pozorów. I to pozostało jako zasadniczy ton wspomnienia: cicha radość podkreślana rzewnym uśmiechem.

Choćby pozornie nic się nie stało, przynajmniej nie niezwykłego. Ktoś przy sąsiednim stoliku powiedział tylko: „patrz, jak śmiesznie drzemie ta stara kukła”.

Ale dla mnie mogło być rewelacją już to, że ten wieczór zamykał jeden z kilku pierwszych ciepłych marcowych dni, że na ulicach właśnie zastygały w chrupące przezroczyste tafelki malutkie strumyczki i kałuże, że zmierzach był taki liljowy, a serce było tak szybko — bo czyż to samo nie starczy za najcudowniejszą przygodę?

Przy wąskiej, krętej uliczce, zbiegającej stromo ku rzeczce, była malutka kawiarenka. Odkryłem ją kiedyś zupełnie przypadkowo. Wszedłem, myśląc że tu można będzie spokojnie drzeć. Rzeczywiście, cisza tam była nadzwyczajna. Na ścianie, przeciwnie: gładkiej, wisiało skośnie sporo lustro w ciemno-czerwonej pluszowej ramie. „Znużone” pomyślałem o nim i to określenie wydało mi się najtrafniejszym.

Choćby starannie wycierane i czyszczone, tak, że ta staranność w utrzymaniu odrzucała się w oczy, robiło jednak wrażenie, nabrały w niem rozlewności, zatracaly wyrazistość konturów i wlebiały się w zczajony na dnie taflę zmierzach. Jakby już bardzo zmęczone bezustannem odrzucaniem odbić, utraciło ono konieczną moc i sprężyność, bardzo zakurzonego. Wszystkie odbicia: podawało odbica — jak pomyślałem — niechętnie. Tak. „Znużone” — to było najlepsze dlań określenie.

To też girlandy jakichś pnączy i cztery

drzewka laurowe, które przedzielały salkę na dwa zaciszne gabinety, jakby wzrosły w czerwone ramy lustra. Zrazu trudno się było zorientować, co jest odbiciem czego. Zwłaszcza w czasie tych kilku chwil, kiedy mrok na ulicach gęstniał już w noc, a w kawiarni (przez oszczędność pewno) ociążano się z zapalaniem światła. Wtedy się plątały sztywne listki laurów w mrocznym lśnieniu lustra z jaśniejszymi planami okien i całość robiła wrażenie wydetłych rzeźkim wiatrem zagłębionych w nieskończone podróże trójmasztowców. Czuło się niby podmuch morza: tęsknotę za powrotami i nieruchomy pośpiech.

Wszystko to zauważyłem, a nazwałem dopiero później.

Pierwsze wrażenie było: przytulność.

To wrażenie było główną przyczyną mojej decyzji spędzania codziennie „szarych godzin” w tej kawiarence. Tak. Wrażenie przytulności, powiew starościowości, wspomnienie oberż przydrożnych i podróży dyliżansem: krótkich przejazdów a długich postojów, opowiadań o walkach i zbójcach — drogi oświetlonej smolną pochodnią w ręku konnego pacholka — ba! dobrze jest czasem pomyśleć o tych rzeczach, gdy w oczy brylnie reflektor motoru, mkącego po szosie z szybkością 100 km.

To więc wrażenie zacisza zrobiło ze mnie stałego bywalca malej kawiarenki, chociaż nie mniej przyczynił się do tego usługujący tam kelner. Staruszek mały, suchy, z twardą pofalowaną jak główka kapusty, zdawał się wprost nie pojmować czego poza małą czarną mozną od niego żądać.

Przynosił tę moją porcję, nie spiesząc jak zresztą czynił był wszystko, i dreptał powoli w kąt pod lustrem, przy oknie, gdzie sztywniał znów na godzinę.

Miałem w tym czasie sporo różnych kłopotów i — oczywiście — pieniężnych. Nie więc dziwnego, że ta powściągliwość w obsłudze wydała mi się jeszcze jednym przy-

miotem kawiarni.

Przychodziłem tam prawie codziennie.

Dobrze było usiąść pod okrągłą kopułką laurowego drzewka i pograżyć się w jakieś ni to odretwienie, ni to sen, kiedy w świadomości niemi żadnej ukształtowanej myśli a kiedy jednak najgłębsze, najtajniejsze zjawiska stają się nagle i zrozumiałymi i tak prostymi i kiedy codziennie banalne pojęcia nabierają nieoczekiwanie pełni nowych i ważkich znaczeń. Za oknami spadały coraz większe platy mroku, niby niesamowite kwiaty wyrastały w lataniach zielone kielichy gazu, a ja tymczasem odpływałem na wydetłych zagłębionych w dalekie podróże znużonego lustra — niezmiennie: w nieruchomym pośpiechu.

Nie wiem dlaczego zawsze zdawało mi się, że to konwencie musi być statek korsarski. Raz nawet, kiedy nie zapalano światła wyjątkowo długo, zobaczyłem kapitana w trójkątnym kapeluszu, z harporem, śmieszne armatki i przed stu laty, a na maszcie czarną chorągiew z niezgrabną białą czaszką — wyraźnie widziałem trupią czaszkę w lustrze, tam właśnie gdzie się odbijał górny kwadrat okna.

Leż w tę chwilę posypało się w oczy kolące światło i w ciszę prysnął jęzgot tłumionego szkła. To staruszek kelner zapalał zbyt pośpiesznie elektryczność stracił na podłogę szklankę. Stał teraz nad odlaknami z twardą dźwięnie zmieszana i dzieciennie przerażona.

Był to jedyny może wypadek, kiedy coś tam zaczęło przybierać nieco wyraźniejsze kształty. Zwykle zaś było to jak sen, którego sobie nie można przypomnieć. Pamięta się tylko, że śniło się o czymś niezwykłym i pięknym, lecz treści nie można pomimo największego wysiłku przywołać — jest tylko wrażenie: modra smuga w świadomości.

W codziennej krzątaninie zbiegło mi kilka miesięcy i były już pierwsze dni marca. Coraz dłuższe, czasami niebezpiecznie liljowe

i słoneczne. Tak się złożyło, iż parę dni nie przychodziłem do mojej kawiarni. (Wciąż ta samo: pieniądze! — i, że to trzeba tego i tego i trzeba przecie żyć).

Kiedy więc po paru dniach nieobecności wchodziłem do kawiarni niemile uderzyły mnie zmiany: przybyło mas. Jasnowłosy i jasnooki robotnik siedział w kącie z bladą panienką: trzymali się za ręce i rozmawiali szepem, nachylając twarze ku sobie; przy drugim stoliku czekało na coś dwóch młodzieńców. „Szkoła” pomyślałem — „pewno już nie popyłne na wyprawy korsarskie na drogach lustrzanych”.

Siedząc, jak zwykle, pod stożkiem lauru, naprzeciwnie lustra, zamyśliłem się o sobie. Ogarneło mnie rzewne rozzuczenie. Byłem zupełnie sam, samotnie, na tym ogromnym straszonym świecie. Samotność nazywają wprawdzie przywilejem i szczęściem mocnego człowieka, lecz niestety, nie byłem człowiekiem mocnym. Przynajmniej ciężła mi ta rzeczywistość samotna i szukałem schronienia w sentymentalnych ucieczkach do drzemającej pod opaloną mgłą rzeczywistości krajny wspomnień.

Przez zmrużone powieki patrzyłem na gasnącą już czerwień zachodu, gładząc pamięcią wiotkie łodyżki drobnych minionych radości. Wyrastały one kłkiewi a chętnie, — jak zwykle pierwsze kwiatki leśne — wołko starego białego w ziemi domu, na ścieżkach dawno już wyciętych i spalonych sadów, spłatyły się w młkie wianuski wdzięczności na czaszkach rozsiadanych po szerokich stepach, układały się w smutne bukieciły pojednania w dłoniach liljowych, w białych całowanych palcach, — pod łustym czarnoziemem Ukrainy.

Wyrastały — jak zwykle leśne kwiatki rosną — na bujnej próchnicy trupów.

I nagłe poczułem, jak wzrok, rozchylając lekko kratę zmrużonych rzęs, wybiega za szybę okna, przelatuje nad śpiczastym dachem sąsiedniej kamienicy, obok czerwonego

fabrycznego komina. Za chwilę ważył się nad osmignioną wieczorem zielenią pól, wbiegał w zczyszony, bielejący w błękitnym zmierzchu zagajnik brzozy.

Nie! to nie było znużenie — to nie była wyobraźnia!

Tylko mój wzrok, jako rzecz realnie istniejąca poza mną.

Czułem najwyraźniej, że obok mnie są inni ludzie, że jestem w mieście, siedzę w kawiarni — i jednocześnie całkiem osobno i również rzeczywiście wzrok mój przebiegał przez oniemione wieczorne pola, zaglądał w jary szmerzące ściskającymi na noc strumykami wiosennych wód, wchodził w pachnące rzekę wilgotną ziemią lasy.

Bez wątpienia oczy moje stały się czemś poza mną.

Czułem poprostu fizycznie obecność ich i tu w czasie, w kawiarni i tam na polach dzieciństwa. Cóż więc — coż było rzeczywistością? O lustrze, lustrze znużone!

Oszłołomiony, przerażony radośnie spojrzałem po kawiarni. Para w kącie szeptała cichutko, trzymając się za ręce i nachylając twarze ku sobie. Młodzieńcy śmiali się dyskretnie, poglądając na okno. „Patrz jak śmiesznie drzemie tam stara kukła” rzekł jeden z nich. I kiedy podążałem za ich spojrzeniami, zobaczyłem starszuka kelnera, tam gdzie zwykły był stać, w kącie, pod lustrem przy oknie.

Istotnie zdawał się drzeć.

Leż przypatrując mu się lepiej, zobaczyłem, że w jego, dziwnie pięknej teraz w kształt tragicznej maski ułożonej twarzy, nie było oczu: pod bolesnie wygiętymi łukami brwi czerniały głębokie jamy oczodołów. I tylko z tych pustych gniazd wybiegały niki srebrne niteczki, — aż tam, ku podłobie! już całkiem seledynowej makacie nieba, a na nich wisiały, jak drzące szklane kulki dwie blade pierwsze gwiazdki schodzące nocy.

Bledziutkie gwiazdki wyblakłych kelnerskich oczu.

JERZY BRAUN

Wieczór

Bóg głął w ogrodzie szereg klonów.
Na horyzoncie bór zapłonął.
Wozy ciągnęły drogami, milkiły za zakrętami.
A w niebie była przepaść nad nami.
Szlismy, gdy dookoła pojawiały się błyski.
Ktoś w pustkę rzucił gwiazdy, jak wielkie, drzące pociski.
Roztropność falowała w powietrzu, szkiełkom położył zdarzeń...
Noc, jak ogromne zdziwienie przylgnęła do mej twarzy.
Spytałem, nie aby pytać, lecz by głos swój słyszeć, czy to, co dziś się dzieje, ktoś oprócz mnie opisze.
Ale próżnym czekał na odpowiedź przestrzeni.
Wiedziałem, że słów szkoda, bo i tak się nie zmienia Bóg dalej głął w ogrodzie rząd szeszezających klonów.
W Azji nad Hoang-ho kołysał wiatr lampiony.

JERZY RONARD BUJAŃSKI

Czarna Bandera
10 listopada

— przez ciało Bieli jak tancerz lekko przepływam
wbity na maszt okrętu krwią śpiewam
— gniewnie i pewnie tratuję usta niewinne śniegu
idąc powierzchnią fali w pytańki uspionej dali
do ciebie: drugiego brzegu.

— wielki Latarnik rozpałił żuraw polarną
oczy twe krzyżowane mym krzykiem
płoną czerwoną latarnią

— szpilkami parowy oddech pocaługu
przekłuwa raz wraz moje płuca
wiecznie do ciebie powracam, aby cię wiecznie
[rzucić]

— jestem gorących mórz pijany, zblakany
[marynarz]
agrafkami gorących myśli w północ twojej zatoki
muszę się wpiąć

— Dzisiaj nie mogę cię kochać tak jak chciałem
[6 października]
wtedy byłaś moją — lodowym pytańikiem

— dzisiaj mi jesteście Sahary wyschniętą studnią
chcę cię pić, chce ugasić pragnienie
które przyniosłem z Południa

— jutro parabolicznym łukiem upadnę w twoją
[głębie]
choć wiem, że lilje twóch nóg są zimne — czer-
wieni nie ozdobie.

ROMAN KOLONIECKI

Przedjutrze

Dzień kragły, protoplazma słoneczna nabrzmiała,
z dachów się skokiem kul pneumatycznych stoczył;
krnąbrne załomy ulic, jak gumowy walek,
wygladził, załaskotał półkoleście w oczy.
Słońce jak doboz dudni w bęben dna oddechem
(ostre świdy pogłosów wstrząsają się w cegły)
i porusza miarowo niebem niby miechem
i chorągwią południa wita nos odległą.

Miasto mąskoty minut do góry napina
i w suplach tętnie wzmaga żelazny puls ruchu.
Usta spragnione zawisły na płonących linach —
praca, krwawo rozjuszona, w pierś bije obuchem.

Wra, wirują, bulgoczą rozprężone kotły.
Żar łoskotem w skroń tłucze, jak w miedzianny
moździerz.

W platynowej cysternie kipi czarny odlew.
Śmierć alfabetem Morse'a daje wiadomości.

Wieczór zaszywa trupy w płócienną obłok
i znacza ziemię w szmatkach czerwonego słońca.
— Gwiazdki towarzysze, dotrzymajcie kroku.
Lecz przyszła tylko matka i noc skowycząca.

LEON KRUCZKOWSKI

Słowa o miłości
POZDROWIENIE.

Gorącymi ustami całujemy każdy dzień, który
był — każdą noc, która zdarzyła się kiedykol-
wiek.

A piersi otwarte mamy na przyjęcie nowych
dni, na spełnienie wszystkich nocy, w które prze-
znaczonym nam będzie płońć.

O, wielki, boży łańcuch bezimiennych gwiazd,
w świątach i mrokach rozpięty między srebrnymi
wierzchołkami naszego Początku i Końca!

HYMN.

Ty jesteś niebo wschodu i zachodu, niebo po-
łudnia i północy. Kocham Cię.

Ty jesteś ołtarz wysoki w białej kaplicy. Pa-
dam na twarz przed Tobą i modlę się.

Ty jesteś okręt szczęśliwych, świecący błę-
kitnym żaglem. Przygarnij mnie!

MARJAN MARKOWSKI

Noc

Kiedy się blade, zmęczony wieczór uklada do snu
i gwiazdy drżą pocichu w złocistej agonii —
Pijany półśonną ciszą, księżyc, zatacza się znów
i przystając, dostraja kolorowy ton ich.

A wtedy... wtedy i niebo — wielki granatowy pled
Okrywa czarną ziemię ciepłym macierzyńskim —
A ziemia — ziemia grający zaczarowany flet..

Wtedy nie wiem, czy jestem ciszą, sobą, czy
księżycem?..

Z teatrów warszawskich

O „Szkołę żon“ Moliera, wystawionej w Teatrze Narodowym, powiedzieć można to samo, co o „Zbójcach“. Jest to przedstawienie najzupełniej poprawne i całkowicie niepotrzebne. Moliera wystawia się u nas według utartego szablonu stylizowanej groteski; ma to swój wdzięk, gdy się to widzi po raz pierwszy; ale już za drugim razem staje się to nieco jednostajne, potem nudne, wreszcie wprost nieznośne. Niema żadnej nowej myśli, żadnego twórczego gestu, żadnej świadomej chęci ożywienia tego dzieła. Jedyną innowacją jest dodanie „Krytyki Szkoły Żon“, która jest już w teatrze wprost rozpaczliwa, gdyż wogóle nie posiada najmniejszego elementu scenicznego; doprawdy, można by z tym samym, jeśli nie lepszym, skutkiem, wystawiać w pięknych dekoracjach i historycznych strojach dialogi Platoniejskie.

Mamy tu znów miłą sposobność do rozdzierania szat i biadania wielkim głosem nad zdziwieniem moralnym naszej publiczności: „Szkoły Żon“ nikt nie chce oglądać, natomiast na „Jedynym ratunku“ Molnara w Teatrze Małym — pełno! Jakto? Molier, sam wielki Molier wypłasza publiczność, a Molnar, płytki Molnar ją przyciąga? Otóż nie mieszajmy w tę sprawę autorów: mówmy o przedstawieniach, o teatrze. Być może, iż „Szkołę Żon“ można tak wystawić, by była najpiękniejszą i najbardziej interesującą; ale tego nie uczyniono. „Jedynym ratunek“ jest istotnie anegdota, fraszka i kawałek scenicznego, nie mającym żadnych złota pretensyj do wielkiej sztuki. To prawda. Ależ trzeba zobaczyć, jak to jest zrobione! Jak każda postać prosi się o aktora, jak waga każdego słowa trafnie

jest odmierzona, jak ścennie wyszyskana teatralność sytuacji! Żen dowcip nie pada w próżnię, żaden efekt nie jest nienaturalnością. Cóż stąd, że takt, jaki jest w tej sztuce, nie jest artystycznym pocięciem; ale podzielono go z takim samym i równowagą, że niktgo to nie obciży, kiedy po drugim akcie cały konflikt jenieomal rozwiązany, brak jeno kilku słów — jego dopełnienia, — w akcie trzecim te wzięte kilka słów podano z takim humorem, z kim temperamentem scenicznym, z takim bogactwem efektów, iż okazuje się, że cała sztuka była napisana dla tego trzeciego aktu. A przytem, znając dystans, jaki dzieli Molara od Moliera, trzeba jednak i jego słuszą miarą: ta „płytkość“ sztuki jestcale ciekawa, jako nauka umiejętnego pisania sztuk sceniczych; jest tu pewien pirandello — a rebours i na wesoło — w którym autor ukazuje samego siebie przy scenicznym robocie. Ta lekcja pisania sztuki nie jest zapewne wykładem mistrza poezji; ale jestwielką robotą mistrza ceciu. — Świetna wimpie reżyserja i doskonała gra Stanisławska sprawiają, iż przedstawienie to jest smaczna, kulturalna i doskonała zabawa. A przecież to właśnie jest podstawowym teatru zadaniem. Jak nikt na codzień nie może żyć „Króla Duchą“, tak też nikt na codzień nie może oglądać „Fausta“. Obcowanie wielką poezją jest nie tylko ucztą duchową, ale i pracą; i dlatego wielka poezja nie może być powszechną strawą dla ludzi spracowanych i umęczonych. Bynajmniej nie rezygnując z najszczytniejszych swych haseł, teatr nie może się jednak przeobrazić w pracę nie dostępną jedynie

dla fachowców; ani eksperymenty sceniczne, ani komentarze naukowe nie mogą dać tego, co teatr winien dawać przedewszystkiem: wytchnienia. Stworzyć temu wytchnieniu formy estetyczne, sprawić, by ono było jednocześnie artystycznym przeżyciem — to już zadanie trudne; i tu reżyser może się potknąć, nawet, gdy mu się zdaje, że na najpewniejszym stoi gruncie. Tak było ostatnio ze „Świątym Gajem“ Caillaveta i Fiersa w T. Polskim. Niezawodny rezerwuar soków sceniczych tym razem okazał się pustym. To, co ze „Świątym Gajem“ daje się przesadzić na nasz grunt polityczny, — tak już u nas zużyto i wypompowano, że nie budzi w nas żadnego oddźwięku. Orderomanja znów nie zdążyliśmy jeszcze się zarazić, — i to więc pozostaje dla nas obcem. Sama sztuka zresztą technicznie jest słaba, klecona z urywanych epizodów, nierówna w tempie i konstrukcji; obok kilku sceniczenie pomysłańych sytuacji — cały szereg scen bez żadnego wyrazu i napięcia; postacie kreślone dość zdawkowo nie mają tej jednności i pełnokrwistości, jaka oszałamia np. wszystkie niemal figury w „Królu“. Pozostaje kilka świetnych powieści, które jednak nie mogą martwić już sztuki ożywić. Uściłowal dokoła tego Maszyński przez amerykanizację roli Zakuski i oparcie jej na ekwilibrystycznych ewolucjach; ale i ta metoda zawiodła. Być może, iż zawinił tu potrosze moment niesprzyjający wystawieniu tej sztuki: satyra polityczna u nas musiałaby mieć dziś zupełnie specyficzny i ściśle lokalny charakter.

J. Pański.

Z teatrów krakowskich

TEATR M. IM. SŁOWACKIEGO.

„Maski“ Fernanda Crommelyncka.

Codziennie stykamy się w życiu z tragedją sprawiło, że w tragedji teatralnej widzimy tylko teatr. Życie, które nas uczy ciskania kamieniami na występnę — nas, z których żaden nie jest bez grzechu — najsprawniej reżyseruje i najlepsze daje dekoracje, że wśród nich zgrywamy się pierwszorzędnie, przestając moralnie patossem bólu i bezwiednie charakteryzując twarz. Dramat Crommelyncka o snyderu masek potraza popielcowem memento dla nas wszystkich, którzy memento tego wcale nie wzięliśmy do serca. Człowiek pokona może wszystko, nawet śmierć, lecz nie pokona nigdy miłości, bo nie może pokonać siebie samego. O tej miłości, o tej płataninie uczuć w sercach ludzi ogromnie prostych i bardzo dobrych, opowiada nam sztuka Crommelyncka.

W małym miasteczku flandryjskim wszyscy dowiedzieli się, że snyder masek, Paskal, maż Louise, kocha jej siostrę, Lenę, i że Lena podświadomie w swej pierwszej, rozkwitającej miłości zwraca się ku niemu z całym

oddaniem, nie przezwijając mętów, syczących na dnie szampaskiej czary rozkoszy. Nie wolno człowiekowi być człowiekiem. Bajka o wolności jest tylko bajką. Sam człowiek w rozjuszeniu kultury skrepował się wiekami rozlicznymi i nikt i nic ich rozplatać nie zdoła. Louise umiera bez słowa wyrzutu. Paskal i Lena pójda zlamani w tragiczne życie, o ile Paskal wróci jeszcze do równowagi zmysłów po okropnych przeżyciach.

Świetnie zbudowana jest ta sztuka. Głównym korytem mknie szybko główna akcja — a szereg innych epizodycznie wpłatających w nią dodaje jej kontrastów siły i wyrazistości. Rzućcie tragicznego pilogu na tło rozluźnionego karnawału, wypuśćcie ogromną trąbę, a przedewszystkiem samotność człowieka nieszczęśliwego. Nawet głupi Kador znajduje wesołych łowarzyzy zabawy. Lecz człowiek przywołany nieszczęściem nie ma przyjaciół i żyje smę z swą tragedją.

Teatr krakowski wystawił „Maski“ nadzwyczaj starannie. Półna ręka reżysera (dr. Nowakowski) zazaubiła sprawnie wszystkie koła i trudne dwu-akcje w poszczególnych

scenach zmontowała w doskonałą całość. Wszyscy współudział biorący artyści byli w najgorszym razie poprawni, a tłum zrobiony był świetnie. Na czoło wysunęli się dwaj twórcy roli prowadzących: Jadwiga Hańska, Halina Starska i Artur Socha oraz Stanisław Miłski jako Kador. Ta rola to nie na temperamentie oparta żonglerka w „Całym dniu bez kłamstwa“, która wstępny bojem zdobyła Miłskiemu sympatję publiczności krakowskiej. Rola Kadora — to cała gama odcięcia od normalnych przeżyć do zupełnego zaciemnienia umysłu, oparta na studjum duszy, a nie studjum ciała. Miłski dał w tej roli kreację niezapomnianą. Socha jako Paskal i Starska jako Louise walczyły z tragedją życia na należytych płaszczyznach wyrobionej sztuki odwołującej. Hańska jako Lena miała tyle słodyczy i tyle naturalności w sobie, była tak jasna w szczęściu, niewinna w miłości, i przekonywująca w bólu, że dała nam znów kilka prawdziwie artystycznych przeżyć.

Witold Zechenter.

Maurice Dekobra

Najogólniejszy, ale zarazem najcharakterystyczniejszy może podział, jaki się przy lekturze dzieł jakiegokolwiek epoki i jakiegokolwiek autorów nasuwa — dażyć powinien do wyróżnienia **twórców i rzemieślników pióra**. Pierwsi stwarzają pewne wartości, drudzy je eksploatują, do pierwszych nagnie się gust publiczności, jeśli na to zasłużą, drudzy przed gustem in praesentia ustalonym naginają czoła. Trudno ich odróżnić czasem, to prawda. Trudno szczególnie, o ile chodzi o rodzaj pierwszy pisarzy. W wypadku drugim wszakże sprawa jest często nad podziw łatwa. Kto schlebia instynktom tłumu, zbyt wiele autów zostawia w ręce obiektywnego badacza.

Dość już skarżyliśmy się na niewybredność i brak kultury literackiej u naszej publiczności czytającej. Pogodzić się trzeba z myślą, że długo jeszcze najpilniej czytane będzie to, co na czytanie najmniej zasługuje. Usiłujmy „pocieszyć się“ (sit venia verbo) myślą, że także na kulturalnym Zachodzie paśmo literackie bujnie kwitnie.

Exemplum — pan Maurice Dekobra i jego powieściowa „twórczość“.

Przyzwyczajaliśmy się — może i słusznie — uważać Francję za kraj o najwybitniejszej kulturze literackiej; z niej czerpaliliśmy pełną ręką zarody nowych poczyniń i myśli — a przecie pan Dekobra jest Francuzem i — co więcej — powieści jego rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy i pobityby na pewno rekord wydawniczy, gdyby nie Szekspir i — Biblia.

Przyznać trzeba — Dekobra jest wspaniałym psychologiem. Nie w utworach swych, broń Boże! Takim sobie praktycznym psychologiem duszy czytelnika, szczególnie, jeżeli ten należy do pewnych sfer snobistycznych, żadnego sensacji a niezbyt w wyborze duchowego pokarmu wybrednego mieszczastwa.

Czytelnik wyżej wymienionego pokroju znajdzie w utworach Dekobry wszystko, czego zapagnie. Zwolennik egotyizmu — po drodze po wszystkich krajach Europy, Azji i Ameryki, (tylko w sleepingu naturalnie), tęskniący za Paryżem — Montparnasse w oświetleniu nocnym, wróg bolszewizmu — straszne opisy tortur w bolszewickim więzieniu, niedokulturalny zwolennik amery-

kanizacji Europy — życie amerykańskich miliardów, bywałe finów detektywicznych i awanturnych — ysiać awantur i drugi tysiąc detektywów, a wszyscy i wszędzie — pornografie.

Niemniej Dekobra, albo usiłuje mieć swój własny powieściopisarski program. W szkicu literackim p. t. „Przy tonach jazz-bandu“ (czytałem wstępnym numerze „Querschnittu“ w przekładzie niemieckim, gdzie nosi tytuł: „Be Jazz-Musik geschrieben“) znajdujemy następujące wywody:

„Sa dwa rodzaje powieściopisarzy; jeden zamyka się w więzy: kości słoniowej (o ile możności z komfortem, centralne ogrzewanie, lift...) Na wieży wysko ponad przeciętnymi śmiertelnikami, poświęca życie i myśl abstraktem, wykonuje z pomocą skalpela analizy, chirurgiczne operacje. Kładzie na stoł operacyjny duszę ludką, podkazuje rękawy i czyni przepięknie ciecła w wnętrzu swego bohatera, albowiem operacje ślepej książki w podmyślowo swej bohaterki. Pomagają mu w tem systematki. Jedną z nich jest zaprzeczona psychologia książkowa, inna nazywa się komunizm, trzecia tradycja, a czwarta bajecznie rostrzoną drobnostko-

JERZY POLACZEK

Zwycęstwo

W twardy grzbiet czartę ściany, feerycznie
[Iskając]
wkleszczają się miażdżące ostre kły oskarżów;
z ciemności wykwitają rudnych rak tysiące,
chciwe czarnego chleba powszedniego skarbu..

Ważkami alejami spiesz rudy płomyk
do potulnej, pękatej kaby z dynamitem;
i z tklia serdeczności wspinia się na złomy,
w aksamitny płaszcz pśni, od wieków spowite.

Cisza. Nagle huk strąsy, targa sklepianiem.
mózg Czarnego obłączył w tysiąc części rwie się;
z głodnych ust biega szpiz: Zmłuj się nad nami,
wszak Tobie owoc znoicodziennego niesiem!

I znów cisza usypia podłemne komnaty
zalané światłkami czułych lamp Dave'go;
jeno w szare, gómicze bę przybrany szaty
błogosławi Zwycięzców Zwyciężonego!

Wskrzeszone
średniowiecze

(Sygryda Undset: Krystyna, córka Lawransa)

— Zstąpił ze swych kamiennych cokołów zakuci w głąz rycerze, odsonili przylbice i ukazał twarze ludzkie żywe i poprzez mroczną głąz, z której ku nam spozierają, dziwnie blizkie. Poruszyły się i ożyły sztywne faldy szat, w które średniowiecze otula kobietę i oto schodzą ku nam ze starych obrazów dziewice i matrony, uroczyste i piękne w swej poważnej krasie. Idą wszyscy — w zbożnym skupieniu nad własnym życiem, dobrem i złem, bolesnym i radosnym. Niosą nam, dzieciom XX. wieku, obraz surowych prostych form życia wieku XIV. na norweskich nizinach i wyżach, niosą nam swe serca, w których wysoka gorąca fala pienia się krew czerwona.

Oto żarliwa, płomienna, pełna wewnętrznej nieukoju i zgubnej tęsknicy Krystyna, na którą spada miłość i namiętna żądza, jak objawienie, i która niepomna świętej wiary i dziewiczej czystości, w jakie wzwyczał ją ojciec, oddaje się po lasach i zajeźdnych domach temu, którego pokochała wbrew woli rodziców. I gnje się potem i kaja — mimo swe zawzięte, harde serce — całe życie pod brzemieniem winy. Oto szlachetny, dostojny w każdej linji, w każdym ruchu Lawrans, jej ojciec, zaprawdę rycerz-chłop bez skazy i grzechu, pan domu łagodny i dobry, przedziwnie mądry i wyrozumiały; i jego żona Ragnryda, nieradosna i przedwczesnie zwiedza, snująca się jak cień c'chy, jak niewidoczna opatrność wielkiego dworu. Oto piękny, buńczuczny, zawadajki lekkoduch, pełen werwy i humoru, ale mężny i niezłomny, nie-lamiący rycerskiego słowa nawet na mekchach Erlend, kochanek, potem ślubny małżonek Krystyny i ojciec jej synów. — Oto prosty, uczciwy, wierny, mimo serdecznego bólu Szymon, biorący na siebie obce winy, — i tych siedmiu młodych, dumnych, jak orleń, a w dojściu do lat młodzieńczych już tak wiele rozumiejących synów Krystyny; — i inni, cały korowód żyjących postaci sumie przed zaczarowanymi oczyma, rozmachem swego istnienia rozrywając wprost karty cudownej książki.

Średniowiecze — ta najmniej znana, a najbardziej tajemniczą swą pociągająca epoka: widma starych klasztorów, przez które suną pobożni mnisi i mniszki, ciasne, kręte uliczki nieistniejących dziś miast, przez które przewalały się łskrzace tłumy w dniu odpustu, lub jarmarku, poza tem ciche i opuszczone; możliwe, bogate dworskie panów, co z chłopów wyszły, a z królem i książętami się krewnia, na których to dworach dniem i nocą stały otworem bramy dla każdego przybysza, z blizka, czy z daleka, na których do wmurowanych w ziemię stołów zasiadał panowie z gośćmi i ze służbą spolem i znikły niesamowite głości wszelakiego jada i najoju.

To średniowiecze, barwne kontrastem ci-szy u stóp krzyża, mocnej aszky i wiary w wieczność, — i od pogańskich czasów wiadącą się bujnością i radością życia, bodące niebo tęsknotą mrocznych, ostrokończystych naw, dzwoniące ponad rozmodlonym tłumem chwałę Bogu i Jego świętym, a zarazem brutalne, wyuzdane, grzeszne, pełne cielesnych chęci, kipiące krwią — wskrzesza autorka norweska z czarodziejską, prawie dotykającą plastyką ludzi i rzeczy, wyczarowując mocą swej wizyjnej potęgi w pomroce stuleci zagrzebany świat.

Ale jest coś jeszcze w tej książce, co sprawia, że nie sposób się od niej oderwać i że serce czytającego bije w rytm wydarzeń a oczy płaczą. Oto ogromne współczesność uczucia tych ludzi wieku XIV-go. Przedziwnym mistrzostwem słowa mamy zespolenie tych dwu rzeczy: średniowiecznych form życia i dzisiejszych form odczuwania. Stają przed nami ludzie ciepłocy, tak, jak my cierpimy, i dla tych samych przyczyn, tylko, że ich ból jest jakby hamowany, milczący zamknięty, — aż buchnie żywiołowa siła. Z jednego słońca, z jednego spojżenia, z drgających ust dowiadujemy się po latach nieraz, co się z nimi i w nich działo. Fatum jakieś, które zaciska usta i serce w momencie, w którymby krzyknąć winny, które przez jakiś przeklęty upór i nierozumna, oschłą dumę oddala ludzi kochających się od siebie i skazuje ich na przeraźliwą mekę i powrót do zapóźno, to fatum i nas ma w garści. Nas — tu — dzisiaj.

A teraz na końcu chciałbym wskazać z martwych „Żywe kamienie“ — tę polską opowieść o średniowieczu, — przykryte prawie od początku ukazania się piłem nieszczęsnego zapomnienia i obojętności. Od innej strony podszedł Berent ku średniowieczu, inni nań spojrzali oczyma. Dai typy i symbole zmagania się złośliwej gnuśności z odwiecznym szukaniem, podczas gdy u Sygrydy Undset są przedewszystkiem żywi, najprawdziwsi ludzie. I gdy książka Undset — to raczej w marmurowym łomie ciosane potężnymi uderzeniami rzeźby, to „Żywe kamienie“ są owemi przesubtelnej roboty całych pokoleń klasztornych miniatur-mi zdobiącymi stare księgi i foljały. Miniatury w precyzyjności ujęcia nastrojów, obrazów, chwil, ale równie cudowne i nieprzemijające w swem mistycznym zaślachaniu.

W. Kr.

Obywatele!

Nie żałujcie grosza
na cele oświatowe

T. S. L.

Dr. Juliusz Feldhorn.

Baudelaire'a wizje Paryża

Gdyby Bodler nie znał był Wschodu, pobyt na północy byłby mu znośniejszym, a kontrast między jego wewnętrznym światem i sztucznoscia naszych stosunków byłby także mniej silny. Bądźcobaż, ta nasza szaruga, którą nazywamy normalnym życiem ma w sobie coś ze zniechęconej przez Bodlera moralności państwa Aupick, zaświaty zaś poety łatwiej się pogodził z tak zwaną sztucznoscia życia Wschodu.

Bodlera dusza wyjątkowo czuła, nieuleczalnie chora, więc nieomal bezprzykładnie podatna, aby odbierać wszelkie wrażenia, nasiąkać nimi, zachowywać je i później na swój sposób przerabiać tem bezwzględniejszym stała się odbiciem i echem tęchowych przeżyć, które mi się rotym owijała, niby wybujałym powodem wizjonerskich rozpieszczeń. A im jest więcej — z oddali czasu i przestrzeni — w majakach pogody, im szerszym pogwarem zanosi się ocean, im mocniej zapachną utracone strony świeżością lazurów — tym głośniejszemu szarpie grzyzt dysonansu, tym pełniejszym smutkiem obłeci akord pośpiechu, opieczetowany żalem najbardziej serdecznym: bo duszno choremu jest w ciasnym Paryżu, bo lato narzytu tu krótkie, bo zbyt tu głośny plusk deszczu, bo słońca zatrzyma i ciało i duszę, — bo życie ma grzęzną w moczach pospolitości, bo teraźniejszość urobiona jest z ludzkiej krzywdy, a na obrzydliwym błoto nieporozumienia, w jakim żyjemy, ułożyły się sypyk plich chamskich dażeń i lzy, właśnie tych najłepszych...

I. Nikt, oprócz Balzac'a, nawet Dickens, nie przeżywał w sobie tak intensywnie wielkiego miasta, jak Bodler. A wiadomo, wielkie miasto naszcza i podsuwa swoim miłośnikom całą mozaikę tematów, barwną i mieniącą się, jak samego życia słoneczność i próchnica.

W wizjach Paryża Bodlera trafiamy na obfitą rozmaitość spostrzeżeń i na bezpośredniość plastyki, oraz rysunku. A choć swój ruchliwy wzrok zatrzymywał głównie Bodler na wszelakiej biedzie i kalektwie słabych, przecie nigdy nie udeżył w czułośćkowość: nie ubiegał się o poklask serc rozmiękczonych i pustych głów, nalaadowanych trocinami partyjnych hasel: demagogiem nie był.

Zdarzało mi się, że zmęczony hałaśliwym skowitem wczynie spieszących samochodów i rozdrażniony swarliwym pogwarem przechodniów, uciekałem z hotelu i szedłem wzdłuż ogrodu Luxemburskiego. W pewnym miejscu, na jednej z bocznych ulic, odnajdywałem upragnioną ciszę. Nawet latarnie podawały tam jakby słabsze światło, dyskretniejsze. Przy ogrodzeniu, między kratami, i na chodniku bezszelestnie czały się koty, oglądając się nieufnie za najbliższym szemrem — już gotowe do skoku i ucieki.

W tych cichszych spacerach, owiewany dobrotliwą ciszą, odpoczywałem w przeświadczeniu, że mnie tu już nie dogoni daleki zgiełk i niepokój Paryża. I — pamiętam — zawsze wtedy pragnęła się siła jeszcze większego, zupełniejszego spokoju chełwił tęsknieniem za minionymi dniami samotności i po nią w bólu nieomal fizycznym wyłączałem ręce, przyczepiając się wdzięczną pamięcią do tych lat, które mi dawały za towarzyszyż jedyńm morze i pustynie, albo śnieżne i skalne zrywy dalekich Kordyjerów...

Z zadumy mój zbłądził mnie razu pewnego czarne cienie nieruchome, powypędzane z nor swoich nietopiera pora — raz proste, jak struna, to znowu w łuk wygięte. Gdy się ktoś do nich zbliżał, poczynali iść, a raczej posuwać się wolno i jakby w cierpieniu — i gdzieś ginęły, niby w nagłym zapadnięciu pod ziemią...

Kedyś, niechcący i mimo woli, zaszedłem tak cieni znikających: jakaś wynędzniała samotnica karmila kota mlekiem z małego garnuszka... Była nad nim pochylona, gładziła go i coś mu tam po-przez łzy opowiadała w rozczuleniu rzewnym... I zapewne tak wielce rozrzedzenie to wezbrało przy opowiadaniu tej smutnej historii, tak ją jej ból pochłoniął i rozczuliła wdzięczność, że ktoś słucha przecie, — iż mnie nie dostrzegła całkiem...

Kim był ten cień skulony, skarżący się kotu na swoje niedole jakoweś? I co to za kobiety, odchodzące w lekko od zbliżającego się człowieka i garzące się ukiwile do zwierząt?

Naturalne to wytwory wielkiego miasta, których rozpętane tempo szafnówego dla Pięniadza życia laskawie nie zmiażdżyło po to tylko, aby się same, w opuszczeniu, skazywały na tym pewniejsze tortury i powolne konanie — za to, że albo nadarzyły nie umiały za wartkim życia prądem, albo że sztuczności jego przyjać nie mogły, czy nie chciały. Bodlera pociągalo wszystko, co słabe, zniszczone, smutne, sieroco.

„Vauvenargues powiada, że w ogrodach publicznych są aleje, uczęszczane głównie przez zawodzone ambicje, przez nieszcześliwych wynalazców, przez sławy poronione, przez złamane serca, przez wszystkie dusze burzliwe i zamknięte, w których huczą jeszcze ostatnie westchnienia nawalnicy i które ukrywają się przed obelżywym wzrzeniem rozradowanych i próżnych. Te cienie ustonia są schadzka mi upośledzonych tego życia. I ku tym to przeważnie miejscom poeta i filozof lubi kierować swe łakome domniemania: pewny tam jest że...”

Oko doświadczone nigdy się nie myli! W ry-sach sztywnych, albo znękanych, w oczach zapadłych i bez polysku, gdzie tyla tką się resztki blasków walki, w pomarszczeniach głębokich i gęstych, w powolnych, ucinanych ruchach odczytuje się momentalnie bezlik legend miłości za-wiedzionej, zapoznanego poświęcenia, nienagrodzonych wysiłków, głodu i zimna, znoszonych w pokorze i w milczeniu...”

Z twarzy jednego, z ubrania drugiego, z giestu, z niczego prawie układa sobie poeta historię, od-gadując koleje życia Nedzarzy i opowiada je so-bie czasem, poprzez tzy...

Tak przysygnął do siebie i rozgrzewał miło-

ścią wszystkie szpitalne biedoty, zakażone zarazą naszych spaczonych stosunków.

I tak popłynęła symfonia współczucia, posypały się akordy protestu, rozdzwoniły się hejnały żaloby...

A jak dla mnie, przypadkowo napotkanę cie-nie, nabrały wartości życiowej i stały się życia farba, tak i dla czytelnika „Kwiatów zia” i „Smetów paryskich” wylania się tu i tam wyraźnie namalowana sylwetka, mistrzowskim piórem Bodlera oddzielona od bezbarwnej masy tłumów i zindywidualizowana, a spostrzeżona i zapamiętana zapewne na jakimś samotnym po-ustroinach spacerze.

Oto wdowy ubogie, które wyplakaly rzekę łez, na głowy których pan Bóg rzucił od wielu, wielu lat, co roku — trzysta sześćdziesiąt pięć dni sa-motności bez rozrywki, bez przyjaciela, bez po-wiernika; ongiś przez wszystkich czczone za piękność i za wdzięki, dziś wymijane, lub krzywdzone przez pijanego przechodnia, ongiś królujące, dziś zostające w zapomnieniu, ze stoicyzmem znosząc wyszydzenia i obojętność świata...

Oto ruda żebraczka w łachmanach, a cała w kwiecie urody księżniczki!... poprzez strzepy jej szmat, poprzez dziury jej pończoch wygląda urok chorowitego ciała, rozchodzą się subtelność linij i ruchów...

Oto stary kuglarz młczący i nieruchomy, zgar-biony — istna parodia człowieka! — z progu swej lepianki-szalasu zadrzotał patrzy na rozbawione tłumy i grę świateł odświeżne; już nawet nie cze-ka, aby ktoś do jego jamy zaszedł: zrzekł się za-robku, abdykował dawno... ale nie może się je-szcze pogodzić z ciężkim losem i cały ból, całą rozpacz, całą beznadziejność zamknął w martwym spojrzeniu, w niemym, bezgłosnym krzyku...

Oto murzynka zbiedzona, napróżno wyglada-jąca suchotniczem wejrzaniem w kleistej mgły i lepkiej dżdżyści kokosowego drzewa wspania-łej Afryki i żdźbła, okruszyn słońca...

Oto łabędź puszysty, co wydosłał się z zamk-nięcia: wleceze przepych białych piór po piasku brudnym, trzępie skrzydłami i, unosząc go górze suchy dziób, w tęsknocie za swym rodzinnym je-ziorom, wydaje się niebom czynić wyrzuty...

Oto piec beznamięsny, wynędzniały, brudny — głód go pogania, robactwo zamęcza... smutnie po-myka kedyś... a gdy spotka człowieka w niedoli, osamotnionego i, jak on, opuszczonego, zatrzymuje na nim oczy swe mądre i mówi nim: „wez mnie z sobą, a może z naszych dwóch bied ulepimy coś w rodzaju szczęścia”...

Oto opowiadanie, unoszące się jakoby ponad tem obrazami i jakby napielające alegoria po-wietrze: opowiadanie o dwóch braciach, co wszczęli bratobójczą wojnę o kawałek chleba, smakowitym, elastkiem go nazywając...

Józef Grajkowski.

(Dokończenie nastąpi.)

Pszczół w słoneczniku

Beata Obertyńska — Pszczół w słoneczniku. Nakł. Biblioteki Medyckiej — Lwów 1927.

Gdybym chciał — ot zwyczajem krytyka — doszukiwać się uparcie wpływów ou-dzych, miałbym zadanie nie trudne. Znalazł-bym resztki Leśmiana („Ulewa”), mnóstwo Hłakowiczówny („Wiem”), „Spowiedź”, „Droga”, „Strach” (Pawlikowska), „Akacja przed domem” itd.

Ale jedno zdążyłem już zrozumieć, że zbyt jednakie porywy i myśli przepelniają mózgi i serca ludzkie, a formę nową dzieła stworzyć i całkiem odrębną jest rzecz nie-latwa...

A prztem przecież p. Obertyńska jest kobieta — i to, że jest tak w swych utwo-rach podobna do Hłakowiczówny — nie jest może naśladownictwem, lecz poprostu istot-ną kobiecością...

I jeszcze jedno. Z kart tego tomiku wiele miła prostota, słoneczność misternie zawoa-lowana i wdziek pełen słodyczy — i to wła-snie broni „Pszczół w słoneczniku” przed zbyt ostremi słowami krytyki.

Bo czyż nie pełnym cichego uroku jest wiersz p. t.: „Zmierzeł”?

Nad stawu dymiąca błó
mrok z pola się przywłókł siny
i pije cicho jak koń
spokój wieczornej godziny.

Do wody przyłożył pysk,
pysk miękki, co mgłą się owił
i spija ostatni błysk,
którym się błyszczy.

Może najbardziej pozbawiony wpływów i pełen prostoty jest cykl p. t.: „Kalendarz”. Ot, np. „Sierpień”, taki ciepły i wyzłoczony, że ze zwrotek jego mimo zimy gorące wy-ziera słońce i czuje się woi jabłek i słyszy brzęk pszczoł w sadzie:

Bywają dni przedziwne złote,
Jak głab młodego słonecznika.
I dziwnie złota masz ochotę
coś, jak miód złote coś przenika...
„Dobrze ci jest, jak pszczoła na dnie
ciepłego w słońcu słonecznika.

Są w tym tonie i słabe wiersze.
Ale jest mi w tej chwili słonecznie i zło-to... Więc wolę nie myśleć o tem...

J. B.

O kinie i z kina

Ludzie filmu.

Cecil B. de Mille.

Reżyser, aktor czy scenarzysta. W swoim czasie Stefan Napierki postawił sprawę zasadniczo: przedewszystkiem aktor. Jest to zdanie, z którym 99 proc. piszących i myśla-cych o kinie się nie zgodzi. Powód: pamiętamy cały szereg filmów, które są bez wartości mimo doskonałej obsady („Quo Vadis”, „Ostatnie dni Pompei”, „Ben Hur”). — Kompletny fałsz i po-mylona monumentalność.

Imni krytycy zbyt wielką wagę przywiązują do scenariusza. Ale przypominajmy sobie banalne w treści, a mimoto wielkie filmy: „Nieludzka”, „Kurjera carskiego”, „Burłaka z nad Wołgi”... A ileż to razy bogata treść literacka stała się przyczyną zguby samego filmu, kiedy reżyser nie potrafił trafnie wizualnie rozwiązać scenar-jusza!

Więc... reżyser!

Tak. Reżyser przedewszystkiem.

Dawno już doszedłem do tego przekonania, że od reżysera zależy wartość filmu, a ostatnio Ce-cil B. de Mille przekonał mnie ostatecznie.

* * *

Trzy rzeczy w krótkich odstępach czasu wy-swiećlane po sobie to: „Burłak z nad Wołgi”, „Droga do przeszłości” i „Rok szalu i użycia”. Analiza wartości tych obrazów pozwoli nam prze-konać się jak wielką rolę odgrywa w kinie reży-ser.

Pomijmy odrazu te wszystkie naleciałości przypadkowe i nieistotne jak zabarwienie poli-tyczne „Burłaka”, które wywołało szereg niepo-trebnych protestów ze strony „combatantów” narodowej demokracji, dopatrujących się tenden-cyj wywrotowych w obrazie, który pod wzglę-dem historycznym, jako dokument epoki jest raczej... groteską, pomijmy niezupełnie logiczne przejścia w akcji „drogi do przeszłości”, chodźi wszak o pracę reżyserską, twórczą, inwencyjną Cecila B. de Mille’a.

Formuluje: Mille jest bezwzględnie realista.

Kilka ilustracji: Kiedy chce przedstawić kata-strofę kolejową, nie ograniczy się do zdjęcia tego momentu w rzucie ogólnym, ale da przebieg hi-storyczny zderzenia pociągów. (Cyzelator szcze-gółów.)

W „Burłaku z nad Wołgi”.

Burlacy ciągną barkę.

Zdjęcie przedstawia same nogi, obute w trepi-ki. Mieśnie naprężone — wnioskujemy stąd o wy-siłku włożonym w te prace.

Potem te samą barkę ciągną arystokraci. Tym razem Mille ustawił nogi całkiem inaczej. Teraz pokazał wysiłek nóg słabych, a co najważniejsze, nieprzystających do tego rodzaju pracy. (Tu oka-zało się, że Mille jest anatomem, jak mało kto inny, rozumiejącym grę mięśni.)

Albo: Zabawa oficerów w karczmie. Żołnierze walcą na stół kobiety i kagań jej tańczący. To jednak im nie wystarcza. Trzeba ją rozbić. Scena drastyczna. Tu jednak reżyser użył środka artystycznego, który nazwałbym omówie-niem.

Zamiast pokazać nam kobietę rozbieraną, (tak napewno zrobiłby Niemiec) każe nam zwrócić uwagę na twarze otaczających stół oficerów i pozwala nam wynioskować o przebiegu tej sceny.

Esencjonalna scena: „Drogi do przeszłości”.

W gabinecie lekarza: bada uschniętą rękę Schildkrauta. Diagnoza niepomyślna. Oświeślenie pokoju — ciemne. Wem zrywają kotarę z są-siedniego salonu. Wpadają panie, a wraz z niem-snop rażąco-jasnego światła. Proszą Schildkrauta do łóżka.

Jest to zwrot kinowy, który nazwałbym prze-ciwstawieniem.

Fragment z „Roku zału i użycia” (film ten jest robiony na spółkę: reżyserem Hawardem), który rozpoczyna obraz.

Nogi w zmiętych buach szlapiące po błocie. Deszcz pada.

Ta króciutka scena przygotowuje i nastroja widza. Jest mocnym ak-rdem muzycznym w tonacji basowej, rozpoczynającym ja-kąś symfonię smutku.

Mille jest realistą, lbulającym się w symbo-lach, choć tematy jego obrazów są niekiedy na-wet sur-realistyczne.

Przykłady: „Głosy smobójców” gdzie usiłuje rozwiązać kwestię żyć pozagrobowego, albo „Droga do przeszłości” zylfi wiara w reinkarna-cję, w metempsychozę uszy.

Jest w tem pewnego rodzaju contra dictio.

Mistyczne nastroje tnatów kłocą się z reali-tycznym sposobem odtworzenia ich, temniemniej jest Mille wielkim twórcą, poetą kina i dlatego chętnie zgodzę się z Adolfem Nowaczynskim, kiedy dowodząc, że ko to domena reżysera, wskazał na Cecila jako-lasyczny przykład. Miał rację.

Józef Fryd.

O filmach.

„Metropolis”

Z trzech najlepszych reżyserów niemiec-kich, Dupont jest p excellence kinowym realistą, Murnau główny nacisk kładzie na kompozycję malarskąobrazów, Sang zaś jest stylizatorem kina. Szlżacje jego są jednak czysto mózgowe, dla go też przechodzą one bez większego wrażenia, temperatura jego filmów jest zerowa.

„Metropolis” jest lmem bądźco-bądź im-poniującym. Imponiuje on zarówno ogromem wysiłku i pomyslowości weni włożonej, jak i pełnym inwencji ro-zachem i techniką, do-prowadzoną do b. wysokiego poziomu.

Wiele w tym filmie nowego, wartości-o-wego i niezwykle interesującego. Na samym wstępie zmiana szczyty robotników, ura-stająca do rozmiarów symbolu, dalej mo-ment, kiedy bije widza w oczy pałka gongu, uderzająca na alarm, chwila buntu przeciw twórcy wieży Babel i kilka innych. Wiele zato słabych, „robionych” (jak np. scena po-wodzi) przypomina zrozumiałem skojarze-niem pojęć reżysera, który, stojąc obok ob-iektywu, krzyczy przez tubę do całej bandy statystów: „A ruszcie się, do jasnej cholery! Przedej! Krzyczcie a głośno!” I siedząc we wygodnym fotelu, obserwuje ludzi dokoła niego, którzy przeżywając „społeczne pro-bemy” siedzą poważni, skupieni a komiozni, jakby na jakimś głębokim a wielkim mister-jum. Co może sugestia reklamy?

Gra aktorów świetna.

Wrażenie „Metropolisu” jest na bardzo krótką metę. Jest to film bezkrwisty i jakiś bezduszny, jest jak wielki, jasny, błyskotliwy ogień... bez ciepła. Aż się roi tu od kon-cepcyj i konceptów reżyserskich a wszystkie razem wzięte nie są war-te — mojem zdaniem — takiej np. chaplinowskiej parodji tańca Izadory Duncan w „Gorące złoto”. Bodażę, nawet „Variete” stało o wiele wyżej pod względem czysto kinowych walorów.

„Metropolis” — to łabędzi śpiew niemiec-kiej twórczości filmowej. Rewizja całego do-tychczasowego dorobku przekonywa nas, że Niemcy patrzyli na film uczciwie, wnosząc doń oryginalne i nieprzeciętne wartości i rze-telnie wytyczali drogę takimi „kamieniami” jak „Król gór”, „Golem”, „Dr. Caligan”, „Va-riete”, „Portier hotelu „Atlantic”, „Bracia Schellenberg”, „Faust” i „Metropolis”.

Żdzi Niemcy filmują w Ameryce i tam po-każą zapewne wiele. Z tego skrzyżowania należy się dużo dobrego spodziewać.

Pen.

Z krakowskiej sali koncertowej

(Ada Sari. — Poranek symfoniczny.)

Kto słyszał fenomenalny sopran Ady Sari, za-pewne był przekonany, że jest to punkt kulmi-nacyjny w rozwoju głosu znakomitej naszej ro-daczki. To jednak, co słyszełmy na ostatnim koncercie, przeszło najśmielsze oczekiwanie i zmu-siło wprost do bezkrytycznego podziwu i za-chwytu. Efekty dynamiczne w śpiewie oszałamia-ją, a czystość głosu zdaje się niewiarygodna. Nie-bywiała swoboda i lekkość w wladaniu do naj-wyższych regionów doprowadzonym głosem po-rywa słuchaczy. Z obfitego, niezwykle kultural-nie i intelektualnie programu obejmującego pieśni Paisiella, Giordana, Griega, R. Straussa, Rachma-ninowa, Galla i Niewiadomskiego oraz arje z oper: Rimsky’ego-Korsakowa, Verdiego, Borto, Pucciniego i Donizettiego największe zaintereso-wanie wzbudziła aria nitownicy Liu z opery „Turandot” Pucciniego. Słyszalem w Wenecji w partji Liu Rosine Torri entuzjastycznie przye-tła przez audytorjum, i przyszło mi na myśl, że gdyby kochani, najbardziej muzycalni Italcyzy usłyszeli interpretację Ady Sari klekaliby chyba modląc się do nieziemsko pięknego sopranu na-szej artystki. Muzyczna aria Liu, jak całe zresztą dzieło „Turandot” przedstawia najwyższy etap ewolucji Pucciniego. W licznych dodatkach, ja-kimi artystka obdarzyła słuchaczy znalazły się: „Indelle Mendelle” Niewiadomskiego, arja z opery „Sadko” Rimskiego-Korsakowa, wreszcie tak zawsze chętnie przyjmowane „Ay, ay, ay”. Szko-da że z polskiej twórczości pieśniaszej uwzględ-niono jedynie Niewiadomskiego i Galla. Dyr. B. Wallek-Walenski jeszcze raz udowodnił, że nale-ży mu się tytuł mistrza akompaniatorów w Pol-sce.

Trzeci poranek symfoniczny prowadzony z wzorową sumiennoscia przez zasłużonego, do-brze znanego nam z poprzednich występów dyr. Ignacego Neumarkę, zawierał prócz symfonji Brahmsa i koncertu fortepianowego Beethovena dwa utwory rosyjskich kompozytorów: Antoniego Arenskiego i Sergiusza Rokołojiefa. Pierwszy utwór stanowiły wariacje pomysłowo i zrecznie przeprowadzone na temat legendy o Chrystusie Czajkowskiego. Wyjatek z opery Rokołojiefa „Mi-łość do trzech pomarańcz” (marsz) jest utworem nabytym krótkim, trwającym parę zaledwie minut, by można było wysnuć konkretne wnioski o jego wartości. Doskonale zaznaczona rytmika, nagłe zmiany tempa i niesamowita instrumentacja nasunęły się uwadze audytorjum, które zrusiło zespół symfoniczny do powtórzenia „Marsza”. Fragment ów budził po cieżko rozbawienie łącnie z pobjaźliwym wzruszeniem ramion, ogółem jednak niekłamane zainteresowanie. Koncert for-tepianowy Es-dur Beethovena znalazł dobrego wykonawcę w osobie Stefana Askenazego, które-go talent jakkolwiek skłania się raczej ku inter-pretacji utworów czysto wirtuozyjnych, zdołał wydobyc w pełni heroizm tkwiący w dziele Beethovenowskim.

W. Gorecki.

Abonujcie „Gazetę Literacką”

Faust

w przekładzie Zagadłowicza.

Ukazała się już na rynku księgarskim wspaniała nowość: dwutomowy przekład „Fausta” Goethego, dokonany przez Emila Zagadłowicza. Książka niezwykle starannie wydana przez F. Foltina w Wadowicach. Zdoba ją fotografie z przedstawienia „Fau-sta” w Warszawie i projekty sceniczne Z. Pronaszki. Okładkę i portret Goethego wy-konał Fr. Siedlecki.

Jeżeli chodzi o ocenę przekładu, trzeba krótko powiedzieć, że takiego przekładu „Fausta” jeszcze nasza literatura nie miała. Nie znać nic wypracowania. Jest ogromny polot przy naogół zgodności z tekstem, łat-wość płynnej zwrotki, zgrabność formy wier-sza. Po przedstawieniu „Fausta” w Warsza-wie rozszalała się nad nim burza polemik, o czem p’isaliśmy swego czasu w „Gaz. Lit.” przy sposobności recenzji z książki Witolda Hulewicz „Pol-Faust” („Pieść Fausta”, Nr. 13/14). Szerzej o przekładzie i o ogromnej zasłudze beskidzkiego poety napiszemy przy sposobności bliskiej już premiery „Fausta” w teatrze krakowskim. (z)

— „Gazeta Literacka” na posiedzeniu se-natu. W dniu 10 bm. na posiedzeniu komisji administracyjnej jeden z senatorów w dysku-sji nad organizacją szkolnictwa cytował za-rzuty „Gazety Literackiej” przeciw obec-nemu systemowi szkolnemu (z artykułu prof. Myslakowskiego „Snobizm i postęp pedago-giczny”), podkreślając ich trańność i słuszny sąd o stanie rzeczy.

Kronika

— Wieczór „Czartaka”, który niedawno odbył się w Krakowie, dał wyraz ciągłej pracy tej sympatycznej grupy poetów, oddy-chających w twórczości świeżem powietrzem Beskidu. W autocytyacjach lub doskona-łych recytacjach art. dram. Sochy i dobrych art. dram. Granowskiej, usłyszeliśmy nowe utwory Emila Zagadłowicza, Jana Wiktora, Edwarda Kozikowskiego, Janiny Brzostow-skiej, Tadeusza Szantrocha i Zofii Kossak-Szczuckiej. Pełna sala doborowej publicz-ności, zebrany cały krakowski świat literac-ki, artystyczny i dziennikarski, gorące przy-jęcie poetów „Czarteka”, świadczą najwy-mowniej o sympatji, jaką spoczywa na tej grupie poetyckiej. Z tą samą sympatją i za-ciekawieniem oczekujemy zbiorowego wy-razu „Czartaka” w zapowiadanej wznowie-niu rocznego wydawnictwa pod tym tytułem, nieucie twórczości grupy beskidzkiej i polka-zanie jej najlepszych utworów. Omawiając szerzej indywidualne wydawnictwa poetów tej grupy, specjalne omówienie jej kolektyw-nych idei i planów, pozostawiamy do czasu ukazania się nowego tomu zbiorowego „Czarteka”. (z.)

— Dr Zygmunt Tempka-Nowakowski mówił na ostatnim posiedzeniu Tow. Mił. Języka Polsk. na U. Jag. o polskiej wymowie scenicznej. W wła-sciwy sobie sympatyczny i kulturalny sposób ujął prelegent w lekkiej formie kilka zasadniczych i żywotnych spraw kultu dobrej wymowy i do-brej akcentuacji na scenie. Po zajmującą i go-rąco oklaskiwaną przez szczerze zapaloną salę Seminarjum prelekcji cenowego artysty-naukowca rozpoczęła się dyskusja, w której pod prze-wodnictwem prof. Dra Nitscha zabierało głos wielu mówców mających naogół mało do powie-dzenia. (z.)

— „Frank Rakoczy” w Krakowie. W zeszłym tygodniu odbyło się w gimnaz. Św. Anny posie-dzenie komitetu jubileuszowego ku czci Wład. Orkana, pod przewodnictwem dyr. Jakuba Za-chemskiego. W zebraniu wzięli udział prawie wszyscy członkowie komitetu, do którego nale-ża: dyr. Cieżobka prezes Ogn. Naucz. w Krako-wie, dyr. Dorawski, Dr. Ektert, Mir. S. G. Gebel, Pos. Jachymiak, Ks. Prof. Dr Kaczmarczyk, Prof. Dr Kot, Ks. Red. F. Machay, Dyr. Z. Nowakow-ski, (w którego zastępstwie był na posiedzeniu Dr Świątek), Prof. Dr W. Semkowicz, Prof. K. Sosnowski, Prof. L. Stopka, Red. W. Zechenter i Ant. Zachemski przewodn. Akad. komit. jub. Po ustaleniu listy komitetu szerszego, do którego po-stanowiono zaprosić szereg wybitnych osobisto-ści, oraz po wybraniu przewodniczącego komi-tetu ścisłego (Dr. Wład. Ektert) i sekretarz (Ant. Zachemski), przystąpiono do ustalenia szczegó-łowego programu uroczystości, jakie Kraków przy-gotowuje Orkanowi na niedzielę 20 marca. W po-łudnie tego dnia odbędzie się uroczysta Akademia, na którą złoży się kilka przemówień, recytacje artystów, autocytyacja Witolda Zechentera, chór i orkiestra. Wieczorem zaś premiera „Franka Ra-koczego” w teatrze miejskim, która poprzedzi słowo wstępne Dra Świątka. Ze względu na wiel-kie uznanie, z jakim odnoszą się do osoby Jubi-lata siany krakowskie, uroczystości wspomiane wzbudzają już dziś duże zainteresowanie i jest nadzieja, że dzień 20 marca będzie dla Krakowa naprawdę świetnym i miłym.

— Nouvelle Revue Francaise z 1 lutego br. ogłasza Andre Gide’a części opisu podró-ży do Kongo.

— W „Nouvelles Littéraires” z dnia 5 lu-tego b. r. znajduje się ciekawy artykuł Klary Goll p. t.: „Rilke i kobiety”.

— Alfrede Fabre-Luce „Locarno sans reves” należy do najbardziej sensacyjnych wydawnictw bieżącego sezonu.